

Lee Pattison

Papierowy tygrys

Rozdział

Melissa starała się, by nigdy nie przeoczy wystawy nagrodzonych prac dziennikarzy i fotoreporterów, jaka co roku odbywała się w Melbourne.

Czytała w nim artykuł jakiego Pata O'Neille'a, ambitnego dziennikarza, wyróżnionego za wieloletnie spojrzenie na wiele spraw, gdy ktoś nagle objął go z nienacką i zawołał radośnie: - Skarbie, jak się czujesz, kiedy cię widzę. Dzwoniłem do ciebie, ale sekretarka powiedziała mi, że w nim nie poszedł na wystawę. Witaj w kraju.

Jake Curtin był wysokim, energicznym mężczyzną o długiej rudej brodzie, tak gęstą, że można by na niej wypchać materac", jak powiedział kiedyś jeden z kolegów. Objął Melissę serdecznie i ucałował oba policzki. Pociągnął ją za sobą przez salę i mówił bez przerwy.

- Jak było w Singapurze? Widziałeś już moje zdjęcia? Wiesz, podoba mi się sposób ich rozmieszczenia...

Wyróżnienia nie były dla Jake'a niczym niezwykłym. Pracował we wszystkich punktach zapalnych świata i jego nazwisko musiało po prostu znajdować się zawsze na Ustach nagród, gdy był najlepszy w zdjęciach reportażowych. Zdjęcia jego autorstwa czy też jego na tytułowych stronach gazet niż zdjęcia jego trzech największych konkurentów.

Melissa i Jake poznali się na uniwersytecie w Melbourne. Szybko odkryli w sobie pokrewne dusze i zaprzyjaźnili się. Choć podróż zawodowa obojga nie była w stanie osłabić tej przyjaźni. Wprawdzie nigdy nie pracowali razem, ale respektowali wzajemnie swoją pracę, cieszyli się ze swoich sukcesów, współczuli sobie, gdy upragnione nagrody trafiały do kogoś innego. Kiedy Melissa przed dwoma laty dostała wysokie odznaczenie, Jake był akurat za granicą, ale przysłał jej stamtąd ogromną butelkę szampana.

W tym roku Melissa nie wzięła udziału w wystawie. Jej ojciec chorował przez cały rok, rzucił więc wszystko, żeby móc go pielęgnować. Mierzenie ojca było dla niej bolesnym ciosem - jeszcze się z niego nie otrząsnęła. Jak pomóc jej wtedy bardzo. Przychodzi do niej często i pociesza ją jak mógł.

A teraz pokazywał jej wybór swoich najlepszych zdjęć z minionego roku.

Melissa oglądała je w napięciu. Jak objaśniała każdy szczegół. Tamaczył pod jakim kątem ustawia aparat, żeby uzyskać określone ujęcie, jakiego oświetlenia używać.

- żeby uzyskać ten efekt - wskazał jedno zdjęcie - wisiać pół godziny na stalowych szelkach piętnaście metrów nad ziemią.

- Wcale się nie dziwi, że żadna firma nie chce ci ubezpieczyć - rozemniała się Melissa. - Widz tu jeszcze kilka innych zdjęć, które każe dego agenta ubezpieczeniowego przyprawiłoby o zawrót głowy.

Był to zdjęcie z całego świata. Uzbrojeni mężczyźni z twarzami przepętlonymi nienawici na ulicach Belfastu, Bejrutu, Gwatemali, Hondurasu. Zdjęcie zniszczonych budynków, a obok ich mieszkańcy koczujący na resztkach po ciele i mebli, pozostałych po eksplozji; przerażające zdjęcie roztrzaskanych samochodów i zwłok pasażerów, którzy zginęli w zamachach bombowych. Potworna, a jednocześnie fascynująca dokumentacja ludzkiej, a właściwie nieludzkiej działalności.

Melissa zauważyła, że Jake nie komentował tych zdjęć. Poprowadził natomiast do zdjęć z rajdu samochodowego. - Te auta jadły przez prowizoryczny most, zbudowany w Macao, ustawiliśmy się na zakręcie tego mostu, autajechały wtedy prosto na mnie i mogły strzelić najlepsze ujęcia...

I jak zwykle, kiedy Jake Curtin zaczyna mówić o swojej pracy, skończył to się prelekcją dla zebranych, którzy z zainteresowaniem słuchali go i pytali o wszystko, co miało związek z fotografią.

Kilka osób odgrodziło Melissę od Jake'a. Spróbowała precyzyjnie się wycofać. Nagle poczuła coś miłego pod obcasem i usłyszała bolesny okrzyk: - Auuu! - Odwróciła się przestraszona ze słowami przeprosin na ustach.

Nie powiedziała jednak nic, ponieważ ujrzała przed sobą najatrakcyjniejszego mężczyznę w swoim życiu. Przemknął jej przez myśl, gdzie, kiedy ją go widziała, ale potem pokręciła ledwie dostrzegalnie głową. Nie, nigdy go nie spotkała, bo przecież musiałaby go zapamiętać.

Naturalne opalenie podkreśla jeszcze intensywny błękit oczu nieznajomego. Te oczy jak szafiry spoglądały na nią spod głębokich, ciemnych brwi. Wokół niej zarysowanych ust widniały leciutkie zmarszczki mimiczne, zdradzające poczucie humoru. Włosy miała gładkie i ciemne jak brwi i Melissa zastanowiła się przez chwilę, co by nieznajomy powiedział na to, gdyby pogadziła go po tych wesołych.

O Boże, co to mi przychodzi do głowy! - przestraszyła się. Kto, jak kto, ale ona powinna wiedzieć, że sam wyglądał, nawet najatrakcyjniejszy to nie wszystko. Do wiadomości tego na sobie widziała się na sześć miesięcy z Brianem, niezwykle przystojnym aktorem... Zostawiła bez chwili namysłu, gdy na horyzoncie pojawiła się bogata wdowa z grubymi kieszeniami i koneksjami w przemyśle filmowym.

Pamiętajcie, że nazbyt dokładnie to upokorzenie, powiedziała w końcu sztywno: - Przepraszam. Mam nadzieję, że nie zrobiłam panu krzywdy.

- Pewnie, że nie. Zawsze krzycz "Auuu!" na tych wystawach. - Wesołym tonem, jakim nieznajomy powiedział te

słowa i kpina w jego oczach rozżaliły nagle Melissę. Odwróciła się gwałtownie.

Incydent zakończył się na tym, gdyby nie Jake, który rozpoznał w przystojniaku swego znajomego. - Bob, nareszcie! - krzyknął do daleka i utorował sobie drogę do nich. Jednym ramieniem objął mężczyznę, a drugim Melissę.

- Widz, że dwoje moich najlepszych przyjaciół już nawet za mną znajomo.

Melissa pokręciła przecz co głowę, mężczyzna uczynił to samo, nie wspominając o incydencie sprzed kilku minut.

- Nie znacie się? No to poznajcie się - Melissa Sherman...
Bob Whitney!

Bob Whitney!

Pobyt Melissy za granicą musiał być jej dziennikarskie zmysły. Zdziwiła się, że nie rozpoznała w nieznanym Whitneya.

Bob Whitney był praw ręką Kevina O'Sullivan, jednego z najpotężniejszych ludzi świata. Chodził szeptem, że ma zostać jego następcą, gdy O'Sullivan, starszy już pan, przeniesie się w stan spoczynku.

Nic dziwnego, że twarz Whitneya wydała jej znajoma. Widziała ją w gazetach i czasopiśmie. Dopiero co, przed kilkoma dniami, w samolocie z Singapuru przeglądała magazyn, w którym był zdjęcie Whitneya z jego szefem.

Przyjrzała mu się z nagłym zainteresowaniem.

O Kevinie O'Sullivanie mówiono, że pierwszy swój milion zarobił jeszcze przed ukończeniem dwudziestego roku życia. Niektórzy twierdzili, że wszystko, czego się dotknął zamieniało się w złoto. Najdziwniejsze za to, że największe sukcesy odnosił w branży wydawniczej, chociaż przyznawał publicznie, że jest legastenikiem. Mówiono, że nie jest w stanie przeczytać, ani napisać jednego zdania. Posiadał

jednak niezwykle zdolno do dobierania sobie właściwych ludzi do współpracy.

A Bob Whitney właściwie nie się do nich zalicza.

Melissa przeczytała gdzieś, że zastrawiała O'Sullivanowi najgorsze, najbardziej niemiłe sprawy. Trzymała go daleko od O'Sullivanowi tych, których on nie chciał oglądać i przygotowywała pieczęcie dla transakcji.

O'Sullivan był znany hojnością dla swoich wiernych pracowników. Wiadomo było powszechnie, że Whitney i kilku innych ludzi z koncernu O'Sullivanowi otrzymywali bardzo wysokie wynagrodzenie za swoją pracę.

Przed kilkoma laty O'Sullivan zdecydował się rozszerzyć swoje imperium z wydawnictw książkowych na gazety i magazyny. Wykupił wszystko, co było w zasięgu jego możliwości - wydawnictwa znajdujące się na krawędzi bankructwa, jak również takie, które legitymowały się niejakimi sukcesami na rynku prasowym, ale potrzebowały zastrzyku finansowego.

Dotychczas działał głównie w Anglii i w Ameryce, ale teraz zainteresował się także Australią. Ludzie z branży zastanawiali się, co tu zamierza robić. Obecnie Boba Whitney w Melbourne na pewno nie był przypadkowym. Niedługo opinia publiczna dowie się, po co tu przyjechał.

Główny głos Jake'a wyrwał Melissę z zamyślenia, a kiedy dotarł do niej sens jego słowa, zaczerwieniła się.

- Bob, ty jesteś zdolny do wszystkiego... Potrafiłby nawet namówić Eskimosa do kupna lodówki w środku zimy. Może przekonałby Melissę, żeby mi pozowała do zdjęć? Postawił ci kolację, jeśli tego dokonasz!

Melissa zaś skuliła się pod badawczym wzrokiem Boba, który lustrował sylwetkę, chcąc najwyraźniej ocenić, czy Jake szczerze upiera się przy fotografowaniu jej. Rozszyczona

Melissa zacisnęła wargi i wyprostowała się dumnie. Nie ma się czego wstydzić, do diabła! Figurę ma przecież bez zarzutu!

Melissa miała jasne włosy o ciekawym srebrzystym odcieniu. Niewiele osób wierzyło, że to ich naturalny kolor, jednak zdjęcia Melissy z dzieciństwa mogłyby świadczyć, że nie musi stosować farby. Ale najpiękniejsze w Melissie były oczy. Ciemnofioletowe, okolone ciemnymi dymkami rzęsami.

- Oprócz Liz Taylor nigdy u nikogo nie widziałem takich oczu - powiedział Jake, oceniwszy je okiem fotografa już przy ich pierwszym spotkaniu.

Bob ujął Melissę pod brodę tak, że musiała na niego spojrzeć. Przestrześć między nimi zdawała się być napełniona elektrycznością.

- Dlaczego nie chce pani dać się sfotografować Jake'owi?
- Głęboki głos Boba pasował do jego wyglądu - silny, pewny siebie głos.

- Ale on już ma moje zdjęcia! - odparła. Jake parsknął śmiechem.

- Przecież to tylko przypadkowe zdjęcia, które robimy, kiedy tego nie widzimy. To zupełnie coś innego, dobrze o tym wiesz.

Bob i Melissa ci głębiej patrzyli sobie w oczy. I znowu Melissa poczuła nieodpartą chęć, żeby go pogłodziła po włosach...

- Chodźmy stąd napij się czegoś!

Jake zepsuł czar tej chwili... Melissa zerknęła na kieliszek w powietrzu napełniony szampanem, który trzymał w ręce. Skinęła na przechodzącego kelnera i odstawiła go na tacę. - Przydałoby się jakieś porządne piwo, bo już mam dość tego kwaśnego paskudztwa - powiedział Jake.

Jake jako jedyny z tej trójki przyjechał na wystaw samochodem, dosyć zużytym Citroënem. Bob usiadł na tylnym

siedzeniu, przystosowanym raczej do przewożenia bagażu, Melissa zaś z przodu na niskim siedzeniu obok kierowcy.

- Do klubu dziennikarzy?

Melissa spojrzała na Jake'a z powściągliwym wyrazem twarzy. - W piątek wieczorem o tej porze? Uważasz, że to dobry pomysł?

Jake wzruszył ramionami. - Masz rację, jak zawsze zresztą. Będzie tam trochę hałaśliwych wariatów. Co proponujesz?

- McGill's.

Piętnaście minut później siedzieli w niszy małego baru przy końcu Swanston Street. Kiedy dostali drinki, Jake zaczął bombardować Boba pytaniami.

- Czy to prawda, że wykupili cię tutaj całonocnie szereg czasopism? Bob zawahał się przez chwilę, zanim powiedział - W poniedziałek i tak wszystko zostanie ogłoszone, a giełda w weekend jest zamknięta, mogą ci więc o wszystkim spokojnie opowiedzieć. Tak, to prawda. Kupili my "People's World" i "Everyone's Life". Melissa odstawiła z brzością kieliszek.

- "People's World"? Ale to niemożliwe! To jest przecież ukochane dziecko Neda Bartletta, a on nigdy by się przecie nie zgodził na sprzedaż.

Bob skrzywił się z zakłopotaniem. - "Nigdy" - to dżokej. Zdziwiłoby się pani widząc, jak czsto pieniądze skracają ten, wydawałoby się, ostateczny termin. Poza tym wydawnictwo byłoby nie tylko jego własnością.

- Ale "People's World" byłby przedsięwzięciem rodzinnym. Nikt spoza rodziny nie byłby w posiadaniu akcji.

Bob uśmiechnął się cynicznie. - Są ludzie, którzy sprzedaliby nawet własną babkę, tylko za odpowiednią cenę.

- Uważa pan, że za pieniądze można kupić wszystko?

Intensywnie niebieskie oczy Boba musiały zauważyć wyraz pogardy w ciemnofioletowych oczach Melissy, ale ich wzajemnie bynajmniej się nie zmieszają. Bawili się

kieliszkiem, odparę powoli i spokojnie: - Nie, nie wszystko, ale do du o.

Jake postanowił przerwać ciszę i napięcia, jaka zapadła po słowach Boba.

- Czy macie dalsze plany podboju rynku australijskiego?

- Chcemy kupić wszystko, co się da. Szczerze mówiąc, w Sydney jest szereg magazynów, które ewentualnie moglibyśmy nabyć.

- Pojedziesz tam?

- Dopiero po konferencji prasowej w poniedziałek, na której podamy do wiadomości ci, co i od kogo już kupiliśmy.

Melissa zrozumiała, że Bob Whitney przyzwyczajony jest do osiągnięcia zamierzonego celu za wszelką cenę. Czując, że może się emanować od tego człowieka.

Przeczytała kiedyś o nim, że jest zimnym i bezwzględnym biznesmenem i jej dotychczasowe obserwacje tylko to potwierdzały. Tak, tylko zimny i bezwzględny człowiek mógł odebrać Nedowi Bartlettowi jego ukochany magazyn.

Pomyślała ciepło o Nedzie, który był przyjacielem jej ojca, o jego pracy i życiu, w którym najważniejszy był "People's World". Jej ojciec też był taki. Wiąkszą część swojego życia spędził na pracy dla swoich gazet.

Melissa zadrżała.

Czy "Sherman Group" też kiedyś trafi w obrotach?

Odsunęła się od niego. Głównymi funkcjonariuszami byli ciotka Margaret i wujek Pat, a oni na pewno nie sprzedaliby akcji. No, tak, ale Bartlettów też by nigdy nie poszedł o ich sprzedaż ich pisma! Zrobił się jej zimno.

- Czy zamierza pan tak kupić gazety? - spytała mimochodem. Miała nadzieję, że głos jej nie zdradzi i nie zdradzi jej obaw.

Bob Whitney pokręcił przecząco głową. - Nie, jesteśmy zainteresowani tylko magazynami. Wielkich dzienników nie

ma na tym rynku, a ma gazety regionalne wychodzą w niewielkich nakładach. Nie będziemy ich kupować. - Spójrz przełotnie na Melissę. - A dlaczego pani pyta? Może chciałaby pani dla nas pisać? Chciałaby pani przejrzeć mój artykuł. Czy są dobre?

Jake odpowiedział za nią. - W zeszłym roku Melissa opublikowała artykuł o sprzeniewierzeniu pieniędzy przez pewien szpital, za który zebrała mnóstwo pochwał.

- Hmm, taka specjalistka od sensacyjnych reportaży zawsze nam się może przydać. - Bob Whitney wyraża niechęć do wywiadu.

Melissa machnęła ręką. - To nie była tak wielka sensacja. Miała zrobić reportaż z jednego z tutejszych szpitali i potknęła się o pewne niecisności. To, co opowiadali pacjenci wydało mi się trochę osobliwe. Może na powieść, ale przypadkowo trafiłam na ten skandal.

Bob uśmiechnął się wyrozumiale. - Afera Watergate zaczęła się trochę od zwykłego włamania. Wtedy ważyłby reporter, który wiedział, że jest dwa plus dwa i potrafił sobie wszystko pokłajać ...

Melissa poczuła się trochę zakłopotana. Milczała. Nagle spojrzała na zegar wiszący nad barem i stwierdziła z przerażeniem, że siedzi tu już dwie godziny. Podskoczyła na krzesło.

- O Boże, o ósmej ma ktoś po mnie przyjechać, a jeszcze muszę się przebrać. Nie zdążę!

Jake i Bob popatrzyli na siebie znacząco. Jake położył rękę na ramieniu Melissy. - Niepotrzebnie tak się denerwujesz. Podwioz cię przecież, gdzie tylko zechcesz.

Melissa spojrzała na swój jasnoszary kostium, podniosła stopę do góry i pokazała Jake'owi but, który miała na niej. - Mylisz, że tak można grać w tenisa? - spytała z uśmiechem kręcąc dziesięciocentymetrowym obcasem.

Jake roze miała się go. - No, tak, jeśli jesteś umówiona na tenisa, to rzeczywiście twój ubiór nie wydaje mi się za bardzo stosowny.

Wyszli na zewnątrz. Jake odwrócił się do Melissy i Boba. - Poczekajcie tu na mnie. Przeprowadź samochód. - Poszedł na parking po samochód.

Melissa i Bob spojrzeli daleko za nim w milczeniu. Oboje zastanawiali się gorączkowo nad tematem do podtrzymania rozmowy.

Bob pierwszy odchrząknął. - Ta sztuka teatralna, o której pani wspominała... Mówi pani, że jest grana w "Her Majesty's"...

- Melissa skinęła głową i powiedziała. - Czy istnieje nadzieja, że okaże się pani odrobinę współczucia samotnemu, obcemu w tym mieście czy nie i poszłaby z nim jutro wieczorem na tę sztukę? Mówi pani, że nie widziała jej jeszcze.

Melissa była absolutnie zaskoczona tą propozycją. Samotny obcy mężczyzna, pomyślała. Kto taki jak ty z pewnością ci nie pozwoli pozostanie samotny. Po chwili odezwała się ku własnemu zdziwieniu: - Jutro wieczorem? Chyba nie... tylko, że miejsca na to przedstawienie są wyprzedane już na kilka tygodni naprzód. Obawiam się, że nie dostaniemy biletów.

Bob uśmiechnął się. - Pewien jestem, że uda mi się to załatwić.

- powiedziała spokojnie.

Wcale w to nie wątpiła. Na pewno sobie poradzi, pomyślała Melissa. Wyjęła z torebki karteczkę i długopis, napisała na niej swój adres i podała Bobowi.

- Tu jest mój adres i telefon. Przedstawienie zaczyna się o ósmej.

- Może poszlibyśmy wczynie coś zje? Pokręcił głowę zalem.

- Całdzie b d na wsi i na pewno nie wróc przed siódm.

- Wobec tego pójdziemy na kolację po teatrze - powiedziaBob tonem wykluczaj cym jakkolwiek dyskusz.

Melissa spojrza na niego z niechęcią. Chcia mu w nie powiedzie, e nie podoba jej si ten rozkazujący ton, ale w nie zatrzymał przed nimi Jake w swoim citroenie. Nie powiedział wi c nic, tylko wsiał do samochodu.

Odwieł Boba do hotelu, potem Jake podrzuciMeliss pod jej dom. Zamknł drzwi za sob, załczył alarm i woczył urządzenie alarmowe. Spojrzał na swoje odbicie w lustrze wiszącym w przedpokoju.

Dlaczego si na to zgodziłem, spytał sam siebie. Po całym dniu na wsi b d zdolna tylko do wejcia pod prysznic i do siedzenia przed telewizorem. A tu masz, przebiera si, malowa i i do teatru!

No tak, ale był ju za późno na odkręcenie całej sprawy. Musz wrócić wczynie od ciotki Jenny, eby si odpowiednio przygotowa do tego wieczoru.

Rozdział 2

Ciotka Jenny mieszka w górach, prawie osiemdziesiąt mil od Melbourne. Melissa wyruszyła w odwiedziny do niej wczesnym rankiem. Jadąc autostradą Gippsland Highway otworzyła okno samochodu, żeby orzeźwić się porannym chłodem. Miała jeszcze kawę do posiadłości ciotki, w której hodowała kozy. Była we wspaniałym humorze. Cieszyła się na spotkanie z ciotką.

Punktualnie w porze niadaniowej wjechała na teren posiadłości ciotki. Zatrzymała samochód przed drewnianym domem i zgasiła silnik.

Ciotka Jenny, która nigdy nie wyszła za mąż, była szczupła, energiczna, siwowłosą kobietą. Pojawiła się na werandzie przywołana warkotem samochodu. Uśmiechnęła się na widok Melissy.

- Przyjechała w sam por, kochanie. Herbata już jest gotowa i wkrótce wyjdą placuszki z pieca. Chodź na niadanie, Lisso.

Ciotka Jenny była jedyną osobą u wyjątku tego zdrobnienia jej imienia, pomyślała Melissa i przeszły jej dotkliwy ból. Jej matka, jej ojciec i ciocia Jenny. Teraz została jej tylko ciocia. Miała już ponad sześćdziesiąt lat, ale była tak samo witalna, jak przed dwudziestu laty, kiedy kupiła te czterdzieści hektarów w górach, a z nimi pierwsze cztery kozy, od których zaczęła hodowlę.

Przyjaciele i znajomi zgodnie okrzyknęli ją wariatką. Nie mogli zrozumieć, dlaczego nie najmłodsza kobieta przenosi się na zapomniane przez Boga i ludzi pustkowia, gdzie nie ma nawet elektryczności, ani bieżącej wody. Czemu rezygnuje ze spokojnej jesieni życia w mieście? Ale od tamtych czasów wiele się zmieniło i ciotka miała zarówno bieżącą wodę jak i elektryczność.

W mi dzyczasie hodowla kóz uzyskała wietn opini - sprzedawała zwierza w całym kraju. Mimo to ci glę znajdowali si "dobrzy" przyjaciele, którzy dawali jej do zrozumienia, e ju nadeszła pora, eby zrezygnowa z samotnego ycia na pustkowiu i przenie si do miasta. Ciotka odrzuca jednak twardo rady yczliwych i umacnia si w postanowieniu sp dzenia jeszcze co najmniej dwudziestu lat w swoim dobrowolnym odosobnieniu.

Ciotka objęła Melissę wóć zaprowadziła do kuchni, usadziła za stołem i pocz stowała herbatę i placuszkami.

- Naprawd musisz wróci wieczorem? - spytała.

Melissa skinęła twierdząc co głów . - Zwariowała i w ostatniej chwili przyjął zaproszenie do teatru.

Ciotka uniosła brwi do góry. - Ale to zupełnie do ciebie niepodobne. - Spojrzała badawczo na siostrzenicę . - Czuję , e kryje si za tym męczyzna. To musi by kto niezwykły.

Melissa roze miała si . - Je li my lisz, e niedługo rozdzwoni si dla nas dzwony weselne, to jeste w będzie. Czuje si obco w Melbourne i to wszystko.

- Mam wi c rozumie , e kierowała tob miębli niego? A czy ta samotna sierota jako si nazywa?

- Owszem. Bob Whitney.

Nazwisko to wywarło na ciotce kolosalne wrażenie. - Bob Whitney? Ten z „O'Sullivan Group" z Londynu? - spytała odstawiając z hałasem filiżankę na spodek.

Melissa po raz kolejny zdziwiła si , e ciotka w tej swojej głębszy zawsze o wszystkim wiedziała na bieco. - Tak, ciociu. Kupili tu cał szereg czasopism - powiedziała.

- Z magazynem Neda Bartletta węcnie - zauważyła ciotka z przeksem.

- A sk d ty o tym wiesz? Dopiero w poniedziałek ma to by podane do wiadomo ci publicznej.

- Wiem stąd - odparła ciotka z goryczą - że posiadam kilka akcji i Ned prosił bym ich nie sprzedawać. Ale wczoraj wieczorem zadzwonił znowu i owiadczył że stracił już wszystkie akcje.

- Wić jednak nie chciała sprzedać pisma?

- A ty myślisz, że chciała! Znasz go przecie od dziecka! "People's World" znaczyła dla niego bardzo dużo, tak jak dla twojego ojca jego gazety. Nie, to inni chcieli sprzedać magazyn. Jego własna rodzina. Przez tego Whitneya, O'Sullivan pozyskał ich sobie skądś - jak to się mówi - propozycję nie do odrzucenia.

Melissa przebiegła przez niepokój.

- Jak mogli zrobić coś takiego Nedowi. Przecie byli wiadomi, co to dla niego oznacza?

Ciotka Jenny spojrzała smutno na Melissę. - Słuchaj, dla których liczą się tylko pieniądze - powiedziała powoli. Jej słowa przypominały Melissie to, co mówił Bob. Powiedziała wczoraj, że za pieniądze może na kupić prawie wszystko.

Rozejrzała się po przytulnej kuchni ciotki. Porcelana w białym - niebieski wzór, staro wieckie ciemne garnki emaliowane... Przebiegła w myślach inne pokoje tego domu. Mała, przytulny salonik, dwie nieduże sypialnie - wszystko było utrzymane w nienagannym porządku, ale dalekie od luksusu. Ciotce udawało się jako utrzymywana z hodowli kóz, starczyła jej na bieżące potrzeby i na małe inwestycje, ale Melissa doskonale wiedziała, że Jenny nie ma żadnych rezerw.

Gdyby sprzedała akcje Bartletta, a Melissa byłaby pewna, że stałaby wysoko, mogłaby sobie coś odłożyć i stworzyć sobie w ten sposób jakieś zabezpieczenie.

- Nie pomyśl o sprzedaży, ciociu? Mogłaby mieć niezły zysk - zauważyła głośno.

Ciotka uśmiechnęła się pogodnie. - Marzenie czyżby nie wolno sprzedawać za żadne pieniądze wiata.

A jednak, myślała Melissa jadąc do domu, znaleźli się tacy, co to wcale nie zrobili. Kilku Bartlettów, nie do silnych, by oprzeć się pokusie pieniądza, tacy, którym nie zależało na utrzymaniu magazynu w rodzinie.

„Sherman Group” nadawała sens życiu jej ojca. Dokładnie to samo znaczyło „People's World” dla Neda Bartletta. Bob Whitney co prawda temu zaprzeczył, ale czy nie istniało realne niebezpieczeństwo, że O'Sullivan się gniewa po „Sherman Group”? Gdyby tak się stało, to jak zachowaliby się członkowie jej rodziny? Czy tak jak Bartlettowie? Melissa zastanawiała się nad tym problemem cały czas.

Podróż powrotna minęła nadszpiewanie szybko. Zaparkowała samochód na podjeździe i weszła do domu. Postanowiła, że musi przeprowadzić kilka rozmów telefonicznych. Jej własnymi akcjami zarządzał wujek Pat. Z dwóch powodów nie chciała aktywnie uczestniczyć w rodzinnym przedsięwzięciu.

Po pierwsze, jej udział byłby bardzo niewielki. Prawo głosu i decyzji należało do starszych członków rodziny, posiadających większość akcji. Poza tym miała ambicję zrobić karierę w dziennikarstwie o własnych siłach. Nie chciała korzystać ze stosunków ojca. W dążeniu do samodzielności byłaby tak konsekwentna, że nie pisałaby do gazet, które miały jakikolwiek związek z „Sherman Group”. Bob Whitney stwierdził, że to prawda, że nie była skupowa dzienników, ale jej obowiązkiem było sprawdzenie sytuacji.

Otwierając wieczorem Bobowi drzwi, Melissa nawet skrzywieniem ust nie zdradziła niepokoju, który miała przeciwko związkowi z jego osobą.

Zaprosiła Boba do salonu i zaproponowała drinka. Bob spojrzał na nią z podziwem. Rzeczywiście, w ciemnofioletowej sukni z czystego jedwabiu wyglądała nadzwyczaj atrakcyjnie. Sukienka była na tyle krótka, że

odsłania nienaganny kształt jej smukłych nóg. Na szyi zawiesiła sznur kremowych pereł - prezent od ojca na osiemnaste urodziny. Eleganckie pantofle na wysokich obcasach dopełniały obrazu Melissy.

Bob był równie elegancko ubrany. Melissa pewna była, że ciemny garnitur, który miała na sobie, pochodził spod igły najlepszego krawca w Londynie. Koszuli tę na pewno nie kupiłaby wyprzedziła. Gdy odpięła marynarkę, aby sięgnąć do wewnętrznej kieszeni, zauważyła, że musiałaby być szyta na miarę, tak doskonale leżała na muskularnym torsie w jej ciciela.

Przed domem czekała na nich luksusowa limuzyna z szoferem za kierownicą.

Melissa spojrzała zaskoczona na Boba.

- To mi zaoszczędzi trudu znalezienia miejsca do parkowania w obcym mieście - wyjął Bob. - Poza tym koszty pokrywa firma.

- No tak - roze miała się Melissa. - To brzmi całkiem logicznie.

Sztuka była interesująca, kolacja wyborna i Melissa nie odmówiła mu, że przyjął zaproszenie Boba. Czuli się zrelaksowani, mieli wietny humor. Szofer zatrzymał limuzynę przed jej domem, Bob natychmiast pośpieszył, aby jej otworzył drzwi.

Melissa zaprosiła go na filiżankę kawy, ale ku jej zdziwieniu, a może nawet i rozczarowaniu, Bob pokręcił głową.

- Wczoraj rano mam samolot, a w hotelu czeka na mnie sterta papierów, które muszę przejrzeć jeszcze dzisiaj.

Widz, czy pytasz o wzrok Melissy, dodał - Lec do Sydney. Mam tam dwa posiedzenia. Dzisiaj nagraliśmy konferencję prasową. Zostanie wyemitowana w poniedziałek rano, kiedy otworzą się.

- Mam nadzieję, że będą to owocne posiedzenia - Melissa odwróciła się, chcąc wejść do domu, ale Bob zagroził jej ramieniem drogę. Pochylił się nad nią. - Sydney nie jest tak daleko. Wróć tu. Czy mogłoby pani zadzwonić? Chciałbym spędzić z pani jeszcze wieczorów.

- Tak, wieczór bym rzeczywi cię mi - Melissa skinęła głową. - Do zobaczenia, Bob.

Dotknęła lekko wargami jej ust, potem opuścił ramię, cofnął się o krok i powiedział - Niech pani dobrze zamknie drzwi.

Nie byłoby to może najromantyczniejsze słowa po eggnania, ale Melissie zrobiło się przyjemnie, że Bob martwi się o jej bezpieczeństwo.

Zaraz następnego ranka Melissa zaczęła wydzwania do swoich krewnych. Jako pierwszego wybrała wujka Pata.

- Wujku, czy widział ostatnio Neda Bartletta?

- Nie, ale wcale nie jestem pewien, czy chciałaby się z nim zobaczyć. Jak rozmawia z człowiekiem, którego własna rodzina wystawiła do wiatru?

Melissa odczuła pewną ulgę. Reakcja Pata oznaczała, że nie zamierza pozbywać się akcji "Sherman Group".

- A więc takie masz zdanie na ten temat?

Prychnęła pogardliwie. - A jakie może na mnie zdanie? Tylko członkowie rodziny byli w posiadaniu akcji. Ned nie chciał sprzedawać swoich akcji, ale w końcu sprzedał swoje akcje temu typowi od O'Sullivana i on teraz jest głównym udziałowcem.

Melissa postanowiła pójść jeszcze dalej. Nie chciała nikomu podsuwać gotowych pomysłów, ale po prostu musiało wiedzieć, jak się sprawy mają. - Akcje Shermana są podobnie rozproszone po rodzinie jak akcje "People's World".

Przez moment w salkach panowała cisza, a potem Pat zapytała ostro: - Przypuszczasz, że O'Sullivan mógłby i po to sięgnąć swoje macki?

Melissa zorientowała się, że wujek jej zrozumiał i wyjaśnił szybko: - Nie, nie przypuszczam. Ale nasze wydawnictwo jest przedsięwzięciem rodzinnym i gdyby kilku członków naszej rodziny sprzedało komu swoje akcje, mógłby się on szybko znaleźć w posiadaniu wieszko ci akcyjnej.

Pat potwierdziła jej obawy. - Rozmawiam z twoim ojcem o tym już przed laty. Rozdał kilka swoich akcji młodszym członkom rodziny, a twoja matka w tym samym czasie podzieliła swój udział między ciebie, twojego kuzyna Jima i jego siostrę Emily.

Oznacza to, że oprócz twojej ciotki Margaret, nikt nie posiada tytułu akcji, żeby zapobiec przejściu "Sherman Group" przez kogoś innego. Ale wiesz, jaki był twój ojciec, jeżeli chodzi o rodzinę. Zawsze był pewien, że te gazety dla innych znaczą dokładnie to samo, co dla niego. Zachowaj się jak gwieździe w tej sprawie" i nie omieszkałam mu o tym powiedzieć !

Wieczorem, po przeprowadzeniu niezliczonych rozmów telefonicznych, Melissa miała już względną jasność pojęć o stanowisku krewnych. Przebiegła wzrokiem list nazwisk, na której odznaczyła tych akcjonariuszy, którzy nie zamierzali sprzedawać swoich akcji. Przy tych, którzy byli niezdecydowani, postawiła znaki zapytania.

Do dwojga krewnych nie zdążyła dotrzeć. Kuzyn Jim mieszkał w Kanadzie spędzając wieszko czasu w dzikiej puszczy, gdzie towarzyszył ekspedycjom geologicznym. Ciotka Margaret natomiast podróżowała po świecie i nie wiadomo było, kiedy wróci.

Jim miał tylko kilka akcji. Gdy bymś, zarządza nimi pomocnik. Dopiero przed kilkoma laty zostały przepisane na niego. Nie stanowi zatem niebezpieczeństwa, nawet gdyby zamierzał je sprzedać.

Z ciotki Margaret sytuacja wygląda zupełnie inaczej. To ona był głównym akcjonariuszem, ponieważ oprócz swoich akcji posiadała akcje matki, które odziedziczyła po jego śmierci w zeszłym roku. W przeciwieństwie do wujka Jima, który troszczył się o swoje interesy, ciotka Margaret zatrudniła urzędników i księgowych robiących to za nią. Jeśli więc Bob Whitney wpadłby na pomysł jej oferty, musiałby to uczynić za pośrednictwem adwokata ciotki i inni członkowie rodziny nie dowiedzieliby się o tym. Dlatego Melissa przestała się niepokoić o ciotkę.

Wzrok Melissy padł na nazwisko zakreślone grubym krzykiem. Emily nie robiła tajemnicy z tego, jaki był jej stosunek do sprzedaży „People's World”. Melissa słysząc wyrażenie zawiązała jej gębie:

- Ludzie opowiadają, że Bartlettowie dostali za to dwa miliony dolarów. Dwa miliony! Rozumiesz, ile dostał każdy z nich?!

- Tak, ale kosztem rodzinnego magazynu - przypomniawszy jej Melissa i odwaga zupełnie jej opuściła, gdy usłyszała obojga odpowiedź Emily: - No to co? Magazyny nie są takie ważne. Wszystkie supermarkety są nimi zawałone. Kiedyś z Bartlettów mógłby sobie co tydzień kupić wszystkie i jeszcze zostałoby mu do pieniędzy.

Melissa skończyła szybko te rozmowy pocieszając się w myślach, że Emily ma bardzo niewielki udział.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z zamyślenia. W sypialni zgłosiła się redaktorka z „Today's Family”.

- Marjorie, jak mi się pani sęsz . Czy co si sta? - Melissa od razu wyczuła, że co jest nie tak. Co wisiało w powietrzu.

- Musz pani przekaza z wiadomo . Nie mo emy wydrukowa tego artykuła, który pani zlecili my. - Melissa milczała. - Naturalnie pokryjemy koszty jego napisania.

Melissa poczuła si upokorzona, chocia wiedziała, że nie powinna a tak si przejmowa tym incydem. Tylko e... co takiego spotkał j po raz pierwszy.

Wzięła si w gar i powiedziała: - Marjorie, je li trzeba w nim co zmieni ... mo e mogłyby my jeszcze porozmawia na ten temat...

W sęchawce zapadła cisza, potem redaktorka zaklęła cicho. - Do diabła, Melisso, i tak si wkrótce wszyscy o tym dowiedz ... Powiem pani. Wła ciwie nie wolno nam jeszcze o tym mówi , ale „O'Sullivan Group" kupiła „Today's Family" i wygl da na to, że maj zamiar wprowadzi du e zmiany. Polecono nam, eby my zrezygnowali z naszych planów do wydania wiosennego i zwolnili od zaraz połów pracowników. Bardzo mi przykro.

Melissa odetchnęła z ulg . A wi c to nie jako artykuł spowodował jego odrzucenie, tylko zupełnie inne wzgl dy. Mimo to jej humor nie poprawiła si .

Nagle dotarła do niej w pełni to, co powiedziała redaktorka. - Marjorie, ale pani posada nie jest zagrożona?

Melissa usłyszała w sęchawce głębokie westchnienie. - Nigdy nic nie wiadomo. Mam co prawda podpisan umow , ale ju jutro mo e si ona okaza nieaktualna. I to jest wła nie najgorsze...

Melissa po egnała si ycz c jej szcz cia przy nowym wla cicielu. Pomyłała o Bobie Whitney. Ju po raz drugi wywiera wpływ na jej ycie. Na jej pi kne, bezpieczne i wygodne ycie. Ten pierwszy raz dotyczy jej tylko po rednio

ze względu na jej przyjaźń z Bartlettami. Natomiast kupno „Today's Family”, magazynu, do którego napisała wiele artykułów, dotyczy jej już osobiście.

Marjorie powiedziała, że liczy się z ogromnymi zmianami. Ciekawe, na czym one będą polegać? Melissa wzruszyła ramionami. Trudno, musi odczekać, nie ma innego wyjścia. W czwartek Melissa spędziła całe dzień w bibliotece publicznej. Chciała zebrać wszystkie informacje o Kevinie O'Sullivanie. Wyciągnęła wszystkie wszystkie magazynów i gazet, które kupiła w „O'Sullivan Group” i porównała spis treści, przed i po zmianie właściciela.

Z biblioteki wyszła przerażona. Nie wiedziała, że O'Sullivan tak bardzo zmienił wieszko zakupionych przez siebie pism. Tylko kilka zachowała treść i formę tak, jak przed laty.

Znalazła ten wywiad z Bobem nagrany na kasetę video, dotyczący właśnie zmian w zakupionych pismach. Krytycznie nastawiony dziennikarz postawił Bobowi całą szereg niemiłych pytań, zachowując się tak, że przekracza to ramy dobrego wychowania.

Bob odpowiadał szczerze i bez ogródek. Sprawiało wrażenie przeciwnika grającego fair. Początkowo odpowiadał cierpliwie i uprzejmie, potem uznał chyba, że dziennikarz przebrał miarę i jego odpowiedzi stały się tak ciętymi i niespodziewanymi jak pytania.

- Pan najwyraźniej nie kupuje naszych gazet - mówił - Jednak czyta je mnóstwo ludzi. I chciałbym panu zwrócić uwagę na to, że we wszystkich tych przykładach, które pan podaje krytycznym komentarzem, wzrosła drastycznie nakład - na skutek zmian przeprowadzonych przez naszych ludzi. Zmian, przeciwko którym pan teraz protestuje. Jeśli pan się solidnie przygotował do tego wywiadu, to musi pan dostrzec, że pracujemy nie przeciwko czytelnikowi, ale dla

niego. Bez wątpienia dostarczamy mu to, co chce przeczytać. Czy nie na tym polega właśnie zadanie magazynu czy gazety?

- Chce pan przez to powiedzieć, że obniżacie poziom tych pism. Bob przerwał mu ruchem ręki, wychylił się z fotela i spojrzał na niego groźnie. - A pan chce powiedzieć, że chcielibyśmy ocenzurować wszystkie materiały dostarczane opinii publicznej? Pan publikowałby tylko to, co pana zdaniem jest wartościowe? Pod pretekstem podnoszenia kulturalnego poziomu pisma zastosowałby pan ukrytą formę cenzury. Według mnie jest to tak samo złe, jak każda inna cenzura.

Melissa znalazła w bibliotece tyle materiałów, że nie starczyłoby jej czasu na przejrzenie całości. Odbiła na ksero kilka artykułów, z innych zrobiła sobie notatki.

Z pewnością ci Bob Whitney byłby bardzo kontrowersyjną postacią. Wielu ludzi chwali jego wyczucie w interesach i uważa, że od kiedy przejął kierownictwo "Sherman Group", przyczynił się do ożywienia przemysłu prasowego, w którym panował pewien zastój. Z drugiej strony byli tacy, co go odszali od czci i wiary, ponieważ postawił na głowie cały świat interesu. Między tymi dwoma skrajnymi poglądami znajdowali się tacy, którzy czerpali zyski z sukcesów przedsiębiorstw przetworzonych przez Boba i nie chcieli zajmować stanowiska wobec stosowanych przez niego metod. Melissa sama nie była pewna, co ma sędzi o Bobie Whitney.

Bob zadzwonił tego wieczoru z Sydney. Melissa czytała właśnie jeden artykuł o nim. Usiłowała połączyć w jeden obraz człowieka, o którym czytała, z człowiekiem rozmawiającym z nią przez telefon... tym wykształconym, pogodnym, uprzejmym mężczyzną, z którym spędziła miły, beztrudny wieczór.

- Będzie w niedzielę w Melbourne. Czy już coś pani zaplanowała na ten dzień?

Oczywi cie by ju umówiona. Bardzo rzadko mia wolny weekend. W zesz niedziel mog przy zaproszenie Boba do teatru tylko dlatego, e zaplanowa wyjazd do ciotki Jenny i nie robi adnych planów na wieczór.

Przez chwil zastanawia si , czy mo e odrzuci wcze niejsze zaproszenie i umówi si z Bobem. Nie by jednak pewna i w ko cu powiedzia. - Jaka szkoda! Niestety, ca weekend mam ju zaj ty.

- Jestem naturalnie rozczarowany, ale nie dziwi si , e jest ju pani zaj ta. Spó niem si z zaproszeniem. Ale przynajmniej nie musz lecie do Melbourne. Równie dobrze mog zosta w Sydney.

Rozmawiali jeszcze chwil o rzeczach bez znaczenia i po egнали si . Melissa siedzia bez ruchu przy telefonie. Pochlebi jej aluzja Boba, e jest jedynym powodem, dla którego mia by przylecie do Melbourne. Poda jej jeszcze numer swego hotelu w Sydney. - Je li w pani planach nast pi zmiana, to w ci gu paru godzin mog znale si w Melbourne.

Tak, to by bardzo sympatyczne.

Wzi znowu do r ki artyku który czyta przed rozmow z Bobem. By jednak tak zdekoncentrowana, e zupenie nie mog si na nim skupi .

W ko cu wzi notes z telefonami i odszuka w nim numer Jake'a. Zadzwo ni do niego, zaprosi na drinka, albo umówi si z nim na mie cie.

Wykr ci ostatni cyfr numeru i... od y s chawk .

Nie, przecie nie mo e sp dzi wieczoru na rozmowie o Bobie Whitney!

Rozdział 3

Telefon z "Nurse's Quarterly" przywrócił Melissie wiarę we własne siły, która się nieco zachwiała po odrzuceniu jej artykułu przez "Today's Family".

- Spodobała nam się pani propozycja reportażu o pielęgniarkach pracujących w odległych okolicach. Wszyscy byliśmy zachwyceni koncepcją, którą pani nam przedstawiła.

Melissa była nad wyraz uszczęśliwiona. Ktoż znowu chciałby drukować. I co najważniejsze materia do tego reportażu miała już zebrany, więc napisanie go na pewno nie potrwa długo.

- A teraz co do terminu... Czy możemy dostać tekst od pani przed końcem stycznia?

- Oczywiście, to będzie problem dla mnie. - Melissa była w siódmym niebie. Gdyby zaszła taka potrzeba, skończyłaby reportaż już w przyszłym tygodniu.

- Chcielibyśmy serii czterech artykułów.

- Nie ma sprawy - odparła Melissa radośnie. Napisała już dwa, a i trzeci byłby prawie gotowy.

Od rana się schławiła i zaczęła się zastanawiać, co napisze w czwartym. Poszła do kuchni przygotować sobie coś do jedzenia i całe czas intensywnie myślała. W końcu przyszedł jej do głowy Wyspy Furneaux.

W zeszłym roku spędziła cudowny urlop na rozproszonym archipelagu niedaleko północno-wschodniego wybrzeża Tasmanii. W tym czasie spędziła z wyspiarzami na kuterach rybackich.łowili langusty, które potem w wielkich ilościach wysyłali samolotem do Stanów Zjednoczonych, gdzie trafiały na stołach smakoszy.

Ostatni tydzień urlopu Melissa spędziła na największej wyspie archipelagu, na Flinders Island. Była to jedna z sześciu zamieszkałych wysp. W Whitemark, jedynym miasteczku wyspy, zbudowano szpital. Melissa asystowała lekarzowi i

piel gniarce przy łatwiejszych zabiegach. Na wszelki wypadek zrobiła sobie wtedy notatki i pstryknęła parę zdjęć. Zdecydowała teraz, że Flinders Island będzie optymalnym miejscem akcji dla czwartego reportażu, który dopiero miała napisać. Musiała tylko uaktualnić informacje.

Odechnęła sobie jej je, tak była podekscytowana swoim pomysłem. Zapakowała się chwilkę telefonu i natychmiast zarezerwowała miejsce w samolocie.

W cztery dni później Melissa mogła odetchnąć z ulgą po skończonej pracy. Postanowiła pójść na plażę.

Rozpostarła ręcznik na piasku i rozejrzała się z podziwem dookoła. Killiecrankie Bay była najpiękniejszą piaszczystą plażą na Flinders Island. Wczesnym rankiem wyruszyła tu z Whitemark wypożyczonym samochodem, do którego zapakowała podróżną lodówkę i torbę plażową z kostiumem i ręcznikami.

Na plaży nie było nikogo oprócz niej. Zdecydowała się zostawić rzeczy na plaży i pójść najpierw na spacer wybrzeżem. Może znajdzie coś do swojej kolekcji?

Po trzech kwadransach wróciła na swoje miejsce. Rzeczy jej leżały tam, gdzie je zostawiła. Tu naprawdę nie było nikogo.

Przebrała się w kostium, tak się spytała, czy nie odważyłaby się iść na plażę na ludniejszej plaży. Położyła się na ręczniku rozkoszując się samotnością.

W pewnej chwili poczuła się głodna. Sięgnęła po zapasy. Popijając powoli pomarańczowy sok patrzyła na błyszczące zielone morze.

Przestrzegano ją przed dalekim wypływaniem w morze, gdy silne prądy mogłyby ją unieść na otwarty Pacyfik. Pochłapiła się trochę w pękłej wodzie, pomyślała sennie. Ciepłe promienie słońca rozleniwiały ją tak bardzo, że usnęła.

Ale ten owad był natarczywy. / askotał w dłoń, potem w przedramię i w ogóle nie dawał się przepędzić. Przeniósł się na jej czoło, potem powłóczył stronami ucha...

Melissa uderzyła w to miejsce otwartą dłoń i usiadła zirytowana. Napotkała jednak na niespodziewanie duży przeszkodę.

Otworzyła szeroko oczy. - Bob?

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, po czym rozejrzała się dokoła, jakby chciała się upewnić, czy nadal znajduje się na Killiecrankie Bay. Wszystko się zgadzało, plaża, morze, a obok niej - Bob Whitney. W dłoni trzymała drobny kęp trawy, którym ją obudził.

- Co pan tu robi? Skąd pan wiedział. - urwała.

Bob uśmiechnął się w odpowiedzi. - Wcale nie trudno było pani znaleźć. Nie zatacza pani za sobą ładów.

- Bo i nie miałam takiego zamiaru - odparła Melissa odrobinę za głowę. Ci głębiej jeszcze nie mogła zrozumieć, jakim sposobem znalazł się na tej pustej plaży.

Nagle uświadomiła sobie, co ma na sobie. Chciała zająć bluzkę, ale Bob przytrzymał jej rękę.

- Nie, proszę nie...

Jego głos brzmiał spokojnie, w oczach malowała się ciepłość. Patrzyła na niego, na jego twarz, na jego piersi, biodra, nogi, ale, o dziwo, Melissa wcale nie odczuwała skrępowania. Przeciwnie, spojrzenia Boba jako ją podniecały.

Ona też po raz pierwszy zobaczyła go bez garnituru. Zamierzała pewnie się wykąpać, bo miała na sobie tylko spodenki kąpielowe. Sylwetkę Boba nie można było nic zarzucić. Musiała trenować jakiś sport i zapewne dbała o linię.

Melissa dostrzegła samochód stojący w pewnym oddaleniu. Zmarszczyła czoło. W Whitemark może na bycie wypoczynku tylko jeden samochód i to wcale nie ona go wynajęła. Bob pośpieszył z wyjaśnieniem. - Kiedy się

dowiedziałam, gdzie się pani znajduje, namówiłam w ciocię do hotelu, żeby mi pożyczyła swój samochód.

- A jak się pan dowiedział?

- Ale o czym? O tym, że pani jest na tej wyspie, czy o tym, gdzie spędza pani dzisiejsze przedpołudnie?

- O tym i o tym.

- No więc tak... Dziewczyna dogląda pani domu powiedziała, że wyjechała pani sama i że zamierza pani pojechać ten wyjazd z kilkudniowym urlopem. Nie wiedziała jednak, a przynajmniej udawała, że nie wie, dokąd się pani udaje.

- Nie wiedziała naprawdę. Chciałam kilka dni odpocząć i dlatego powiedziałam jej tylko, że wyjeżdżam z miasta. Ale skąd się pan dowiedział, gdzie jestem?

Bob wzruszył ramionami. - Zależy, że dostała pani polecenie od któregoś z magazynów, do których pani pisała. Poleciłam moim ludziom zadzwonić do wszystkich redakcji, z którymi pani współpracowała. W końcu dotarliśmy do więcej osoby, która zdradziła nam plany i miejsce pani pobytu. Gdy dowiedziałam się, o którą wyspę chodzi, byłam pewna, że będzie pani chciała tu się zatrzymać na dzień. Potem już tylko zadzwoniłam do jednego hotelu w Whitemark i wyczerterowałam samolot.

Melissa patrzyła na niego oszołomiona.

- Co jest nie tak? - spytała

- A więc zadzwoniłam do wszystkich redakcji, z którymi współpracowałam? - mówienie przychodziło Melissie z niejakim trudem,

- A od której pan zaczął?

Bob zaczął jej wyjaśniać wszystko powoli, jakby mówił do dziecka.

- Słyszała pani zapewne o komputerach. Można w nich zgromadzić różne dane, na przykład nazwiska dobrych

dziennikarzy, wielokrotnie nagradzanych i wyróżnionych. Oprócz tego są dane zleceńodawców, daty publikacji i tematyka poszczególnych artykułów. Oszczędzamy w ten sposób mnóstwo czasu, gdy chcemy dotrzeć do „swolnych strzelców” i zlecić im napisanie dla nas jakiegoś artykułu.

Melissa milczała nadal, więc Bob spytał po chwili: - Nie gniewa się pani chyba, że tu przyjechałam?

Nie wiadomo dlaczego Melissa bardzo ucieszyła się to pytanie. Chciała już spontanicznie zawołać: - Nie, przeciwnie, ale w końcu powiedziała. - Nie. Pojawi się pan w odpowiednim momencie. Nie miałam odwagi sama popłynąć, ale skoro pan tu jest, mogę od razu rzucić się w morze.

Bob wstał uśmiechem, podał jej rękę i powiedział: - To co nas jeszcze wstrzymuje przed kąpielą?

Trzymaj się za rękę, pobiegli do morza. Melissa od razu zanurkowała, żeby spuścić z siebie ziarenka piasku. Morze było ciepłe, płynęła w nim wspaniale.

Gdy wrócili na plażę i Melissa rozpakowała swój łódź, Bob poszedł do samochodu i przyniósł swój wkład do pikniku.

- Wiedziałam, że nie będzie pani miała wystarczająco dużo prowiantu dla dwóch osób, z których jedna jest obdarzona ogromnym apetytem.

- Aha, żeby nie zapomnieć... Po zjedzeniu musimy koniecznie poszukać diamentów. To obowiązek dego, kto przyjeżdża na Killiecrankie Bay.

Melissa roześmiała się wesoło, widząc zdziwienie w oczach Boba. - Diamentami tubylcy nazywają kolorowo połyskujące kamienie, które można znaleźć w płytkiej wodzie.

Szybko zaspokoił głód. Melissa czuła się szczęśliwa, zadowolona i pragnęła, żeby ta chwila trwała w nieskończoność.

Nie wziął jednak pod uwagę energii Boba. Sprzedając się po jedzeniu i poderwał Melissę z piasku. - Niech mnie pani prowadzi do tych skarbów.

Brodzili w płytkiej wodzie szukając diamentów". Między skałami odkryli prawdziwe złota i tych kamieni. Melissa była szczególnie dumna ze znalezienia jednego czarnego kamienia i dwóch ciemnoczerwonych, wyglądających jak dwie krople krwi.

Słońce zmierzają już ku zachodowi, kiedy wrócili na plażę, ale ci głębiej jeszcze było bardzo ciepło. Bob zaproponował - Daj pani trzy sekundy przewagi. Kto pierwszy będzie w wodzie - wygrywa.

Melissa przystała z szelmowskim uśmiechem na warunki wyścigu. Popłynęła do morza szybciej niż kroki Boba. Ona pierwsza dotarła do wody i ze zwycięskim okrzykiem rzuciła się w fale. Bob nie chciał jednak poddać tak łatwo. Pokazał skałę, wystającą około trzydzieści metrów przed nimi z morza.

- A teraz - kto pierwszy dopłynie do tej skały!

Melissa była dobrą pływaczką i początkowo ona prowadziła. Bob przeciągnął ją jednak wkrótce, dotarł do skały jako pierwszy i wdrapał się na nią. Potem pomógł Melissie zrobić to samo.

Skała była większa, niż to się mogło wydawać z plaży. Z jednej strony miała nawet w szerszym pasie piaszczystej plaży, rozciągającej się na całej długości platformy. Bob i Melissa skierowali się w tamtą stronę i rozciągnęli się na piasku, aby odpocząć po meczach zawodów pływackich.

Melissa zamknęła oczy. Szum fal rozbijających się o skałę działał na nią uspokajająco.

Przewrócił się na bok, podparł głowę na łokciu. Bob poszedł jej na łady. Teraz patrzyli sobie w oczy. Dzielił ich tylko centymetry.

Oczy Boba powiedziały Melissie, że tych kilka centymetrów to też za dużo. Wiedziała jednak, że gdyby się odsunęła, bez słowa zaakceptowałyby jej decyzję.

Zaprawdę wyciągnę rękę i pogłodzi opalone muskularne ciało Boba, co jej jednak powstrzyma.

Ciśko pracowała na swój niezależny i uwiadomiła sobie, że będzie musiała przynajmniej chwilowo z niej zrezygnować, jeśli nawet o romans z Bobem Whitneyem. Czuli, że on nie zadowolony się przelotną przygodą. Jej w gruncie rzeczy tak nie interesowały krótkotrwałe romanse. Flirt z Bobem Whitneyem mógłby okazać się dla Melissy niebezpieczny, kusił jednak niesamowicie.

Bob leżał bez ruchu. Nie próbował przyciągnąć Melissy do siebie. Najwyraźniej decyzję pierwszego kroku pozostawił jej. Jednak namiot w jego oczach nie pozostawiał cienia wątpliwości co do jego intencji.

Melissa spojrzała na niego i widocznie wyczytała w jej wzroku odpowiedź, na którą czekała. Wyciągnęła rękę i przyciągnęła go do siebie. Jego wargi znalazły jej usta. Melissa zarzuciła mu ręce na szyję i odwzajemniła jego namiotny pocałunek. Dzięki Boba uczyła się poznawać jej ciało. Pogłodził delikatnie jej piersi, po czym rozpiął stanik od kostiumu.

Melissa czuła się tak, jak gdyby nie była jakimś przepięknym, cudownym senem. Ścisnęła swój pospieszny oddech i czuła mocne bicie serca. Drżącymi palcami pogłodziła jego plecy i przyciągnęła go jeszcze bliżej do siebie. Pragnęła Boba, pragnęła go tu i teraz. Ciągnęła z niej kostiumki pielowaty, Melissa uwolniła go z kieloszek.

Zaczęła całować jej ciało, jej piersi, jej brzuch, uda... Melissa jej nie przytulała się jeszcze bardziej do niego.

Wreszcie wszedł w nią najdelikatniej, jak umiał. Wiat dookoła tych dwojga przestał istnieć.

- Halo...o...o...

Melissa spojrziała przestraszona na Boba. Leżała jeszcze w czułym uścisku na skalnej plaży.

Bob szybko zajął miejsce przy pielówce, wstał i spojrział w kierunku, z którego dobiegało wołanie. Na plaży koło nich samochodów pojawiło się trzecie auto. Obok stał jakiś mężczyzna. Dostrzegł Boba i zaczął gwałtownie wymachiwać rękami.

- Pani Whitney, otrzymaliśmy pilną wiadomość dla pana - zawołał. Musi pan natychmiast zadzwonić do biura. Powiedziano nam, że sprawa jest pilna i nie może czekać. Musi pan natychmiast jechać ze mną.

Bob zmarszczył czoło i spojrzął na Melissę, która już zdążyła się ubrać w kostium. - No, jeżeli okaże się, że ta sprawa nie wymaga takiego pośpiechu, to kto mi za to odpowie - powiedziała do niej.

Wskoczyli do wody, opłynęli skały i dopłynęli do plaży.

Mężczyzną na plaży był Jim Purcell, brat wujki ciciela hotelu.

- Dzwonił pan Lloyd James. Powiedział, że dziś wieczorem musi pan polecieć do Stanów. Z Melbourne przyleci samolot i zabierze pana stąd. Pan James będzie na pana czekał w Moorabin i poinformuje pana dokładnie o wszystkim.

Bob podziękował za informację i zwrócił się do Melissy. - Lloyd nie ponaglałby mnie tak bardzo, gdyby nie chodziło o coś naprawdę ważnego. Musz niestety wyjechać.

Melissa uśmiechnęła się, patrząc na zachodzące słońce, chciała bowiem ukryć przed oboma mężczyznami oczy, które napłynęły jej do oczu.

- Musisz jak najszybciej wracać do Whitemark. - Melissa powiedziała to tak opanowanym głosem, że aż sama sobie

dziwił. - Po zachodzie słońca nie będzie już można wystartować z tego lotniska.

To będzie bardzo deprymujące po eggnanie.

Jim uważał, że zdaje się, że za swój obowiązek, dopilnowanie Boba, aby wsiadł do samochodu i pojechał jak najszybciej do Whitemark. Spojrzał niecierpliwie na zegarek i powiedział - Ma pani rację. Dlatego brat polecił mi jak najszybciej odnaleźć pana i przynaglić go do powrotu do Whitemark. Nie wiedział, kiedy pan wróci, a uważał, że sprawa jest widocznie na tyle pilna, że nie można czekać ze startem samolotu do rana.

Bob pocałował Melissę pośpiesznie w czoło, na czulsze po eggnanie naprawdę już nie było czasu. Pobiegł do samochodu i ruszył powrotem.

Melissa spojła jeszcze przez chwilę za dwoma oddalającymi się błyskawicznie samochodami, dopóki nie zniknęły z zasięgu jej wzroku. Potem zaczęła się pakować.

W drodze powrotnej do małego miasteczka usłyszała warkot małego samolotu w górze. Wiedziała, że na jego pokładzie jest Bob. I chociaż nie mogła go zobaczyć, pewna była, że on patrzy na nią z góry. Uśmiechnęła się.

„Zadzwoń do ciebie natychmiast, jak tylko będę mógł. Nie wiem, jak długo będę musiał zostać w Stanach, ale przypuszczam, że niezbyt długo, ponieważ jestem tu poumawiany na ważne spotkania”. Słowa Boba, które szepnęły jej przy po eggnaniu na plaży, długo dźwięczały jej w uszach.

Nieoczekiwany przyjazd Boba i jego nagły wyjazd były głównym tematem rozmów w alicji hotelu i jego przyjaciół. Była to nie lada atrakcja w ich spokojnym życiu. Melissę próbowano wypytać o szczegóły, ale ona uśmiechnęła się tylko w odpowiedzi i przy pierwszej okazji uciekła do swojego pokoju.

Spojrzała przez okno na niewielkie nabrzeże, przy którym cumowały kutry rybackie. W wietle księżyca obraz ten prezentował się niezwykle malowniczo. Melissie było smutno. Inaczej wyobrażała sobie ten wieczór.

Nagle ktoś zapukało do drzwi informując, że jest dla niej telefon. Zbiegła szybko po schodach i zapytała siostrzyczkę. - Halo, Bob, to ty? Tylko nie mów, że jednak musisz lecieć do Stanów!

- Musz, Melisso. Przykro mi, ale za kilka minut muszę wejść na pokład samolotu. Dzwoni z lotniska. Samolot jest wciąż nie przygotowywany do startu. Noc nie ma lotów liniowych, musieliśmy dlatego wyczerperować maszynę.

Przez moment w siostrzyczce panowała cisza, potem Bob szepnęła - Miała nadzieję, że ta noc spędzi inaczej. Tymczasem spędzi ją sama nad Pacyfikiem.

Melissa zawołała do telefonu przy barze, gdzie był pełno ludzi pilnie nadstawiających ucha. Nie mogła więc powiedzieć nic innego poza: - Ja czuję to samo...

- Pewnie nie jesteś sama. Ja też nie. Okropny tu tłok. Chciałabym ci tylko powiedzieć, że lecę do Los Angeles. Mam tam pewne kłopoty i będzie potrzebowałam trzech dni na uporządkowanie wszystkich spraw. Powiadomi ci o dacie powrotu.

Melissa usłyszała jakiś inny głos w siostrzyczce, a potem znowu Boba: - Wciąż nie powiedziano mi, że zaraz startujemy. Do widzenia, Melisso.

Melissa odłożyła siostrzyczkę. Miała uczucie, że została przerwane coś więcej, niż tylko rozmowa telefoniczna. Bob miał polecić na drugi koniec świata, ona musiała tu zostać sama. Tak będzie wyglądać ich przyszłość. Nie mogła mieć żadnych złudzeń wiści z takim mężczyzną, jak Bob Whitney. Dla niego praca będzie zawsze na pierwszym miejscu. Zawsze siostrzyczka obowiązywała dla niego

wa niejsze od niej. B dzie gna€na drugi koniec wiata w nie
cierpi cych zw€ki sprawach i zostawia€ sam .

Ale ja przecie te yj podobnie, w wiecznym po piechu,
pomy la€. Jak e cz sto pakowa€m si b€yskawicznie, eby
za godzin siedzie ju w samolocie w poszukiwaniu
interesuj cego tematu. Je li Bob ma wobec mnie powa ne
zamiary, b dziemy musieli skoordynowa nasze terminy, eby
znale troch czasu dla siebie. Trzeba b dzie zawrze jaki
rozs dny kompromis, tylko e ja wcale nie jestem pewna, czy
tego chc .

Melissa by€a bowiem zupe€nie zadowolona ze swojego
dotychczasowego trybu ycia.

Melissa kontynuowa€ urlop na wyspie. Najpi kniejszym
momentem ka dego dnia by€ wieczorny telefon od Boba.
Mog€ skorzysta ju z pewnego odosobnienia, gdy
w€a ciciel hotelu zaproponowa€ jej korzystanie ze swego
biura. Rozmowy trwa€y d€ugo. Bob musia€ za ka d zap€ci
maj tek.

W ci gu dnia Melissa wa€sa€ si po wyspie. Czasami
ca€dzie le a€a na pla y, czasami odwiedza€ zaprzyja nion
rodzin .

Ostatni dzie urlopu nadszed€o wiele za szybko. Ma€
samolot z Launceston przylecia€po pasa erów do Melbourne.
Melissa dosta€ miejsce przy oknie. Kiedy samolot wzbi€si w
powietrze, spojrze€ ostatni raz na wysp , z któr €czy€ j
teraz tyle wspomnie .

Rozdział 4

Melissa otwiera drzwi do domu, gdy zadzwonił telefon. Podbiega czym prędzej do aparatu.

W słuchawce odezwał się znajomy głos: - Co się stało? Powinna być w domu już przed dziesięcioma minutami. Czy utknęła w korku?

I zanim zdążyła coś powiedzieć, mówi dalej: - Myślę, że uporam się ze wszystkim do jutra i przylecę samolotem o dziewiętej.

- To wspaniale, Bob. Wyjadę po ciebie.

- Naprawdę? To miło z twojej strony, ale... lecę z kilkoma ludźmi z kierownictwa i na lotnisku spotykamy się z dwoma innymi, którzy odlatują do Stanów. To jedyna możliwość rozmowy. Słuchawki samochodu będzie na mnie czekać.

Rozmawiając z Bobem, Melissa zauważyła nagle paskie pudełko stojące na szklanym stoliku. Musiała być tam po niej pani Arnold, która przychodziła do niej sprzątać. Melissa nie mogła sobie jednak przypomnieć, żeby zamawiała coś takiego.

Bob zauważył coś innego zaprzeczając uwagom Melissy. - Masz zmieniony głos. Czy coś się stało?

Nagle przyszedł jej do głowy pewna myśl. - Czy wysyła coś na mój adres? Coś nowego, czworokątne?

- Aha, to znaczy, że przesyła ją dotarła. Otwórz ją! - poprosił - Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Melissa odłożyła słuchawkę obok telefonu. Z ciekawości rozpakowała przesyłkę. Siedział po formie mógł to być obraz. Ale jaki obraz mógł przysłać jej Bob? Był przecież u niej w domu i mniej więcej zdążył się zorientować w jej gustach. Miała już na ścianach kilka płócien, które kosztowały jej trochę.

Rozpakowała obraz przedstawiający jakiś nadmorski pejzaż. Nagle zorientowała się, co to za miejsce i aż krzyknęła z radości. Trzymając obraz w rękach wróciła do telefonu.

- Och, Bob, jakie to piękne! Gdzie to znalazł ?

- Zauważ, że płaszczyzna tak piękna jak Killiecrankie Bay musiała być namalowana przez co najmniej tuzin malarzy. Jedynym problemem było znalezienie jak najpiękniejszego obrazu. Kazałem sfotografować wszystkie płaszczyzny z tym motywem i wybrałem najlepsze z nich.

Melissa patrzyła w milczeniu na obraz.

- Zauważ, że malarz uwiecznił nasz śmiech? - spytała cicho.

- Od razu rzuciłem mi się to w oczy, dlatego też zdecydowałem się na ten, a nie inny obraz - wyjaśnił Bob.

Znowu rozległy się jakieś głosy w tle i Bob powiedział, że musi iść, bo zaczyna się waga na naradzie.

Melissa odłożyła szachawkę, wzięła obraz w ręce i zastanowiła się, gdzie go zawiesi. Najbardziej pasowałoby do sypialni, ale Melissa zdecydowała się w końcu na cianę w salonie.

To będzie ich wspólna tajemnica, jej i Boba. Gdyby ktoś zobaczył obraz, widząc w nim tylko piękny krajobraz. Oni za to by wiedzieli więcej... znacznie więcej.

Melissa rozpakowała walizki i zadzwoniła do redaktorki z "Nurses' Quarterly". Poinformowała ją, że za kilka dni dostarczy artykuł. Potem zadzwoniła do swojej sekretarki, która miała dla niej wiadomość od Jake'a - prosił o telefon.

Wykręciła jego numer. - Jestem już w domu, Jake. Umieram z głodu, moja lodówka pełna pustkami, a nie chciałabym je sama.

Jake roześmiał się. - Dobrze, że już jesteś, Melisso. Spotkajmy się punkt dwunasta w "LaFontaine". Nie pozwól mi czekać !! - zagroził na pożegnanie.

Z punktualnością co do minuty Melissa weszła do ulubionej restauracji Jake'a. Kelner poznał ją natychmiast i

poinformował że pan Curtin jest w kuchni. - Przyniósł specjalnego na lunch.

Ach, ten Jake, potrafi sobie wszystkim owinąć kołosa, pomyślała Melissa z podziwem.

Usiadła przy wskazanym przez kelnera stoliku i zaraz potem zjawił się Jake. Ucałował ją serdecznie na powitanie i usiadł z rozmachem na krześle naprzeciwko, które zaskrzypiało podejrzanie pod jego ciężarem.

Melissa była z ciekawości, aby się dowiedzieć, co robi w kuchni, nie spytała jednak. Jadła z apetytem zakuski z najnowszymi plotkami.

Kelner sprzątnął talerze. Jake spojrzał na nią w stronę kuchni. Uśmiechnął się jak uczeń, gdy postawiono przed nim duży półmisek ze srebrnym pokrywem. Uniósł ją z dumą zaprezentował Melissie ogony langusty z grilla.

- Te langusty były jeszcze dzisiaj w morzu. Przyleciały tym samym samolotem, co ty. - Jake uśmiechnął się szelmowsko. - To sprawa Boba. Nakazał mi zadzwonić do ciebie i zaprosił cię na lunch.

- Chcesz przez to powiedzieć, że Bob to wszystko zaaranżował? - spytała Melissa ze zdziwieniem.

- Bob zadzwonił do mnie wczoraj w nocy, a może to już było dzisiaj? W każdym razie bardzo późno. Powiedziała, jakim samolotem przylatujesz i poprosiła o przygotowanie tego wszystkiego.

Jake spował nagle. - Taki wcale nie jest Bob, Melisso. Jeśli już coś zaczyna, to od razu powaźnie. Nie zdaje się na przypadek, wszystko musi być dopięte na ostatni guzik, porządnie zorganizowane. Zorganizuje cię i całe twoje życie, jeśli się na to zgodzisz. Musisz się powaźnie zastanowić, czy naprawdę tego chcesz. Bob należy do ludzi, których należy traktować powaźnie.

Melissa poczuła si nagle nieswojo pod badawczym wzrokiem Jake'a. Zacz mówi znowu starannie dobieraj c sowa. - Nie mo esz zlekcewa y Boba, Melisso. A przede wszystkim pami taj, e musisz umie oddzieli w nim czwieka od biznesmena.

Melissa od y sztu ce. - Co przez to rozumiesz, Jake?

- Jeste teraz u szczytu swojej zawodowej kariery i wspinasz si coraz wy ej po szczebelkach tej drabiny. Uwa aj, eby którego dnia nie wyl dowa w klatce z podci tymi skrzydami.

- Ale ja naprawd nie mam zamiaru znale si w takiej sytuacji - odrzek Melissa z irytacj .

Jake doda jeszcze: - Wi cej nic ci ju nie powiem. Mo e nawet powiedzia m za du o. Ale lubi ci i nie chcia bym, eby kto ci zrani

Melissie nie uda si nakni Jake'a do ja niejszego sformuowania tych uwag. Zjedli lunch w milczeniu i po egnali si szybko.

Melissa wraca zamy lona do domu. Jake zawsze by szczery i otwarty wobec niej. Nie mia zwyczaj u udzielania wymijaj cych odpowiedzi. Odnios wra enie, e chcia j przestrzec przed czym , co mia zwi zek z Bobem, ale nie odwa y si mówi ja niej. Ciekawe, dlaczego?

Rozdział 5

Następnego dnia Melissa obudziła się wczesnym rankiem. Była jakoś dziwnie zdenerwowana, ale nie mogła sobie uwiadomić przyczyny tego zdenerwowania. Nagle o niej ! Bob dzisiaj wraca!

Myślała, że po południu będzie chciała odpocząć po trudach podróży, ale Bob pragnął jednak koniecznie zobaczyć .

Melissa wyskoczyła z łóżka z niezłomnym postanowieniem doprowadzenia domu do nienagannego porządku. Jednak pani, która sprzątała u niej dwa razy w tygodniu, robiła to tak starannie, że widać ciwie nie miała nic do roboty.

Chodziła niespokojnie po domu zastanawiając się, czym zajmie czas do przyjazdu Boba. Robiła sobie w kawę, gdy zadzwonił telefon.

Serce zabiło jej mocniej. Spojrzała na zegar. Nie, to nie mógłby być Bob. Na niego byłoby o wiele za wcześnie.

- Czy miałaby pani ochotę pójść ze mną na lunch? Będzie to dobra okazja do rozmowy o nowym zleceniu - w salkach odezwała się miła damski głos, którego Melissa początkowo nie mogła z nikim skojarzyć .

Wreszcie dotarła do niej. - Victoria! Ale to niemożliwe.

- Owszem. Mamy zgodę . - W głosie redaktorki wyraźnie brzmiała radość . - Zgodzili się na wszystko, co pani zaproponowała. - Czy pani paszport jest jeszcze w domu?

Melissa usiadła zwróciła się na sofie obok telefonu.

- Proszę dać mi chwilę czasu - poprosiła. - Tak dłużej to trwa, że prawie już straciłam nadzieję, że coś z tego będzie.

- Spotkajmy się w London Hotel na lunchu, żeby omówić szczegóły. Może o pierwszej?

Melissa po egnała si z redaktork "At Home and Abroad". Była bardzo przejt. Ci gte jeszcze nie mogła uwierzy , e redakcja zaakceptowała jej projekt.

Zaproponowała seri reporta y o Australijkach, yj cych za granic . Pocz tkowo redakcja wykazała umiarkowane zainteresowanie i Melissa wala ciwie nie oczekiwała, e jej propozycja zostanie pomy lnie przyjt. Ale z tego co powiedziała Victoria wynikało, e zaakceptowano j bez adnych zmian. Melissa nie mogła si ju doczeka pory lunchu, eby jeszcze raz usłysze t pomy ln wiadomo .

Nast pny telefon był od Boba. - Przeszedłem wala nie przez kontrol celn w Sydney. Mam jeszcze dzisiaj kilka spotka , przez cały dzie b d zaj ty. Prawdopodobnie przyjad do ciebie bezpo rednio z lotniska. Mo e by po ósmej? Dok d pójdziemy na kolacj ?

- Co powiesz na najlepsz restauracj w mie cie? - Melissa podała swój własny adres. - Tu szef kuchni osobi cie serwuje dania swoim go ciom.

- Sk d ten dobry humor? - spytał Bob ze miechem. - Czy tak ci cieszy mój przyjazd, czy jest jaka inna przyczyna?

- Za mniej wi cej godzin spotykam si z pewn redaktork na lunchu w "London Hotel". Bob, dostałem wala nie fantastyczn wiadomo - opowiedziała mu pokrótce o zleceniu z "At Home and Abroad". - Do wieczora b d znała wszystkie szczegóły - powiedziała na koniec.

- Ale to zlecenie wi e si z wieloma podró ami. To znaczy, e w ci gu kilku nast pnych miesi cy niecz sto b dziemy mieli szcz cie znajdowa si jednocze nie w tej samej cz ci wiata - stwierdził Bob sucho.

Melissa przypomniała sobie słowa Jake'a. "Zorganizuje ciebie i całe twoje ycie, je li do tego dopu cisz."

Odsun ła od siebie t my l. - Dotychczas te nie widywali my si zbyt cz sto. Nie z mojej winy.

Przez chwilę w sęchawce panowała cisza. - Posłuchaj Melisso, nie miałem zamiaru robić ci wyrzutów. Naprawdę. Tak, to zlecenie jest dla ciebie wspaniałym szansem. Na pewno bardzo się cieszysz.

- Po prostu skacz do góry z radością! - odparła Melissa.

- Tylko nie zawiń na stać w górze, bo będziesz ci musiał pomóc. Ale może lepiej byłoby razem z tobą być tak wysoko. Zdaje się, że już raz byliśmy wspólnie na szczycie...

Melissie zrobiło się zimno i gorąco jednocześnie. Ona też dobrze pamiętała, jak się kochali na plaży. Kiedy skończyli rozmowę położyła się na tapczanie i zamknęła oczy. Zobaczyła nagrzaną ścieżką, otoczony wodami wielkiego oceanu... Po chwili jednak poczucie obowiazku wyrwało ją z tego stanu błędnego rozmarzenia. Musiała załatwić tysiące różnych spraw związanych z kolacją, chciała bowiem dobrze wypaść przed Bobem.

Szczyliwie pobliski sklep dostarczał zakupy bezpośrednio do domu. Zadzwoń tam i zamówiła całą mnóstwo rzeczy. Potem wzięła prysznic, ubrała się i pojechała do "London Hotel".

- Victorio, wspomniła pani, że redakcja zaakceptowała moją propozycję bez żadnych zmian. Ale czy rzeczywiście zostawicie mi wolność? Czy mogę sama wybrać tematy?

Victoria uśmiechnęła się z rozbawieniem. - Znamy przecież sposób pani pracy, Melisso. Zdajemy sobie sprawę, że na panią w doborze tematów. Stawiamy tylko jeden warunek: wszystkie kobiety, o których chce pani pisać, muszą być urodzone w Australii. O wszystkich innych sprawach zdecyduje pani sama. Wiek i zawód nie grają roli. Nie ważne jest to, czy mają dzieci, czy są zamężne, czy samotne, czy są tylko chwilowo za granicą, czy te wyszły za mąż za obcokrajowców. Kraj aktualnego miejsca ich pobytu jest też mi obojętne. Czy to pani wystarczy? Zawrzyjmy umowę na

artykuł z trzema tysiącami słów, jeden artykuł na tydzień przez dwa tygodnie. Musimy jednak mieć co najmniej sześć artykułów, zanim zaczniemy ich druk.

Melissa zgodziła się, odetchnęła głęboko i syczała z uwagą dalej: - Właśnie nie przygotowujemy umów. Wyślemy ją do pani pocztą. Nasze warunki już pani zna. Zapewnimy pani stosowne fundusze.

Radość Melissy nie miała granic. Takie zlecenie było marzeniem każdego dziennikarza. Zastanawiała się gorączkowo, od czego zacząć. Znalazła kilkanaście interesujących kobiet, które wyraziły zgodę na wywiad. Miała nadzieję, że dostanie od nich adresy innych pań.

- Chciałabym zacząć od Stanów, potem przenieść się do Londynu i pojechać po innych krajach europejskich.

Victoria uśmiechnęła się do rozentuzjasmowanej Melissy. - Wybór marszruty pozostawiamy pani. Proszę jednak wrócić na ziemię, gdy musimy porozmawiać o kilku przyziemnych sprawach. Kiedy pani startuje? Kiedy możemy liczyć na pierwszy artykuł?

Melissa oprzytomniała. - Kiedy powinnam zacząć?

- Wczoraj - usłyszała pogodną odpowiedź. - Proszę podać nam terminy, bo dziemy mogli wtedy dokonać rezerwacji dla pani. Co ze zdjęciami? Będzie pani robić sama, czy mamy pani przydzielić fotoreportera?

- Sama fotografuję - odparła Melissa. Ukończyła uniwersytecki kurs fotografii, ponieważ chciała być niezależna także i pod tym względem. Jakże podszkoliła dodatkowo i tak wyjątkowo umiejętność bardzo się Melissie przydawała.

Ten dzień będzie wspominała po latach, pomyślała Melissa. Poegnąła się serdecznie z Victorią, a po drodze do domu wstąpiła jeszcze do delikatesów. Pragnęła, żeby ten wieczór na długo pozostał w pamięci Boba.

Melissa cofnęła się o krok sprawdzając po raz ostatni, jak prezentuje się stojąc nakryta i nie czyni krysztalami i srebrem. Potem podeszła do lustra, skontrolowała swój wygląd i w tym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

W drzwiach stanął Bob z wielkim bukietem róż. Melissa przeszła do drzwi, gdy pochylił się nad nią i pocałował ją w policzki na powitanie. Ledwie dostrzegalnie pokręcił głowę. Jak to jest możliwe, żeby taki przelotny dotyk wywołał w niej taką reakcję? Zaprosił Boba do salonu. Od razu zauważył obraz i uśmiechnął się do Melissy. - Doskonałe miejsce wybrałaś na ten obraz. To będzie nasza tajemnica, której nie pozna nikt oprócz nas.

Zjedli kolację przy stole, potem przenieśli się na sofę, aby posłuchać muzyki. Bob wstał jednak po chwili, proponując, że pozmywa naczynia. Mimo oporów ze strony Melissy poszedł do kuchni.

- Pójdź co najmniej przez tydzień nie będziesz mogła niczego znaleźć - zawołał z kuchni - ale ja za to będę miał pretekst do ponownych odwiedzin, żeby ci pomóc w poszukiwaniach.

Po skończonym zmywaniu wrócił do salonu i usiadł w fotelu naprzeciwko Melissy.

Melissa spojrzała na niego ukradkiem. Ale on był przystojny! Nigdy jeszcze nie spotkała tak atrakcyjnego mężczyzny. Sama jego bliskość wystarczała, żeby wprowadzić Melissę w stan niezwykłego podniecenia.

- Co ty ze mną zrobisz, Melisso? - Bob podszedł do Melissy i objął ją czule.

Uśmiechnęła się do niego. Prawdopodobnie czuła to co ona.

- Bob... - szepnęła Melissa.

Jego wargi delikatnie dotknęły jej ust.

Milcząc przeszli z salonu do sypialni. Była w niej niepełna i cała sypialnia spowijała srebrna po wiata księżycowa.

Bob znowu wziął Melissę w ramiona i zaczął całować ją w szyję. Zsunął ramiączka jej sukni z ramion. Odnalazł zapięcie i rozpiął suknię. Liski jedwab opadł pod nogi. Melissa stała przed Bobem tylko w małych majteczkach i w pantoflach na wysokim obcasie.

Jej widok zrobił na Bobie wielkie wrażenie. Obejmując nadal Melissę jedną ręką, drugą odsunął kołdrę. Uklęknął i delikatnie na jej karku i powoli, bardzo powoli zsunął jej majteczki. Przez moment patrzył na nią w niemym podziwieniu. Potem rozebrał się szybko i położył się przy niej.

Melissa była z podniecenia, gdy zaczął gładzić jej ciało. Ogarnęła ją nieznana jej dotychczas fala gorącego pożądania. Z jednej strony pragnęła, by pieszczoty Boba trwały w nieskończoność, z drugiej, wiadomo było, że nie jest w stanie tego wytrzymać tej śródkiem czarni.

Gdy Bob pochylił się nad jej piersiami i począł całować ją, Melissa uniosła jego głowę do góry. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy napawając się wzajemnym pożądaniem.

Wreszcie Bob położył się na niej ostro i wszedł w nią. Na ułamek sekundy oboje wstrzymali oddech. Znowu spojrzeli sobie w oczy. A potem poruszali się w odwiecznym rytmie wszystkich kochających się: najpierw powoli i pogodnie, później coraz szybciej i gwałtowniej a po apogeum swej namiętności.

U Melissy w domu nigdy przedtem nie nocowała. Wiedziała, że to czynna, dlatego z niejakim zdumieniem spojrzęła na Boba leżącego obok niej na karku.

Zarzucił szlafrok i zniknął w łazience. Bob, ubrany tylko w spodnie, wyszedł do swego samochodu po mały neseser. Wszedł pod prysznic, Melissa zaś w tym czasie przygotowywała śniadanie w kuchni.

Otworzył lodówkę i uwiadomił sobie, że nie zna przyzwyczaję Boba, jeżeli chodzi o niadanie. Dysponował sokiem pomarańczowym, grejpfrutami, pieczywem tostowym i jajkami.

Podeszedł do drzwi łazienki i spytał Boba, czy akceptuje niadanie z one z tych składników. Bob zaczął mówić, ale w tym czasie zadzwonił telefon. Melissa podniosła słuchawkę i poczuła się dziwnie winna, gdyż w niej gościł Jake'a.

Bob krzyknął z łazienki usiłując przekrzyczeć szum wody. Melissa zaś zaczerwieniła, gdy Jake poprosił, aby przyciszyła telewizor, bo nie może jej zrozumieć. Zakryła na wszelki wypadek mikrofon dłonią. Na szczęście Jake nie poznał głosu Boba. Przez chwilę nasłuchiwała odgłosów z łazienki. Bob znowu zajechał do toalety. - Jake, mleko mi wykipiło - powiedziała. - Czy mogłoby oddzwonić pótej? Mam wspaniałą nowinę. Dostałam fantastyczne zlecenie na reportaż zagraniczny.

Jake natychmiast zainteresował się tą sprawą, ale Melissa pojechała go szybko i odłożyła słuchawkę.

- Co wa nego? - Bob stanął w łazience wokół bieder w drzwiach łazienki. Drugim łazience wycierała wilgotne włosy. Melissa zapagnęła znaleźć się z nim znowu w sypialni.

- Nie - odparł szybko. - Dzwoni znajomy. Zatelefonuj do niego pótej. Nie usłyszałam, co chciałoby ...

- No, jeżeli wybór miałoby należeć do mnie... - powiedziała ze znaczącym uśmiechem.

- O, nie - roze miała się Melissa - nic z tego nie będzie. Jestem głodna!

Usiedli do niadania. Melissa miała wrażenie, jakby od lat wspólnie zasiadali do pierwszego posiłku dnia. Pomyślała, że z łatwością przyszedłoby jej przyzwyczaić się do jego

towarzystwa w dzień i w nocy. Myłta jednak dziwnie ją zmieszana.

- Czy coś le zrobimy? Może za godzinę wypijemy herbatę? - Bob spojrzana nią pytał co.

Musi jej się przyglądać przez cały czas. Melissa potrząsnęła głową przecząc co. - Nie, coś ty. Myłamy sobie tylko o różnych rzeczach. Przepraszam, że się tak zamylimy.

- Przypuszczalnie byłaby między nami daleko i układała sobie pytania do wywiadów. - Bob odsunął pusty talerz na bok. - Wczoraj wieczorem nie mieliśmy okazji porozmawiać o tym zleceniu. Opowiedz mi teraz - poprosił - Kiedy się zaczyna?

Opowiadał Bobowi o wszystkim, przypomniawsobież jeszcze raz słowa Jake'a. Zastanawiała się, czy ten mężczyzna rzeczywiście zamierza zmienić jej życie.

Na razie nie zanosili się na to. Spokojnie przyjęła wiadomość, że Melissa wyjeżdża za granicę na dzień. Nawet jeśli to nieco rozczarowało. - Naturalnie nie wiem, gdzie i kiedy będzie przeprowadzała wywiady - mówiła dalej - nie mogę przecie oczekiwać, że te panie dostosują się do moich planów.

Bob pokręcił głowę ze zrozumieniem. - Ja też mam ten problem. Nigdy nie wiem, gdzie będzie w następnym tygodniu. Ale moja sekretarka jest mistrzynią w koordynowaniu moich terminów. Jeśli podasz jej miejsca i daty swoich pobytów, będzie mogła ustawić terminy moich spotkań tak, abyśmy mogli się czasem zobaczyć.

Ponieważ Melissa nic nie odpowiedziała, spytał - Chcesz przecie, abyśmy się spotkali, prawda?

Melissa skinęła głową.

- Okay, musi nam się udać. Napisz mi jej nazwisko i numer telefonu - wyciągnął kartkę papieru.

- Sekretarka jest chyba najwspanialszą kobietą w twoim życiu.

Bob uśmiechnął się. - Tak, wysyła mnie we wszystkie strony świata. Pstryknie palcami, a ja już lecę. Słuchaj, może się ci już nauczy rozkładu lotów na pamięć.

Bob spowaśniał i wziął Melissę za rękę. - Nigdzie na świecie nie będziesz się czuć bezpieczna, bo wszędzie ci znajdę. Nie uciekniesz przede mną.

Spojrzała na zegarek, zmarszczyła czoło i puściła jej dłoń. Wstała szybko. - Chciałbym tu zostać dłużej, ale czas mnie już goni.

Melissa rozczarowała ten pocałunek, ale powiedziała pogodnie: - W porządku, i tak muszę jeszcze zrobić zakupy i przygotować się do podróży. Zaraz się za to wezmę.

- Zobaczymy się dziś wieczorem? Znowu o ósmej?

Melissa zgodziła się z radością. Stała w drzwiach swego domu i pomachała Bobowi na pożegnanie.

Rozdział 6

Po wyjściu Boba, Melissa zabrała się za sprzątanie domu. W trakcie porządkowania zastanawiała się, co powinna zrobić najpierw.

Wyciągnęła notatnik i przejrzała list kobiet, które już wyraziły zgodę na wywiad. W kalendarzu porównała terminy, które spisała już jakiś czas temu.

Nagle odezwał się dzwonek telefonu. Zawahała się przez moment, czy odebrać, w końcu jednak podniosła słuchawkę.

- Miała zadzwonić po niej i co? O czym chciała mi opowiedzieć?

- Przepraszam, Jake - powiedziała Melissa ze skruchami. - Naprawdę zapomniałam... - Chodzi o to, e...

Opowiedziała Jake'owi o wszystkim. Pogratulowała jej serdecznie i podkreśliła, że to zlecenie może mieć ogromne znaczenie dla jej kariery zawodowej.

- Może wybralibyśmy się razem na obiad, żeby w odpowiedniej oprawie uczcić to wydarzenie? Muszyci teraz koniecznie zrobić kilka zdjęć, żebyśmy później mogli chwalić przed wszystkimi znajomymi z tobą.

Przyjęła zaproszenie, potem zaraz wróciła do pracy. Zrobiła wszystkie najważniejsze sprawy i została jeszcze trochę czasu na zakupy. Garderob miał w niej już skompletowaną, ale brakowało jej jeszcze kilku drobiazków.

Melissa postanowiła wziąć taksówkę ze względu na niewystarczającą ilość miejsc do parkowania w centrum.

Kwadrans później schodziła już do "George's Boutique" nie spodziewając się wcale, że za chwilę przypadkowe spotkanie odmieni całe jej życie.

Oglądała w niej sukienki, kiedy ktoś zawołał jej po imieniu.

Z przymierzalni wyszła jej kuzynka Emily w towarzystwie ekspedientki z naręczem sukienek. Podeszła do Melissy. - Co ty tu robisz?

Melissa wzruszyła ramionami. - Och, rozglądam się tylko. Nie zdecydowałam się na żaden zakup. Dostałam zlecenie zwiazane z dłuższym pobytem zagranic. Muszę sobie kupić kilka rzeczy, ale może zrobię to innego dnia.

- A ja muszę się natychmiast zaopatrzyć w nowy garderob. Emily była najwyraźniej w wietnym nastroju. Melissie wydało się to nieco podejrzane. Emily szczebiotała dalej: - Wyruszam z ciotką Margaret w rejs dookoła świata.

Kiedy Melissa widziała się ostatnio ze swoją kuzynką, ta uskarżała się akurat na kłopoty finansowe. Zazdrościła Bartlettom ich udanej transakcji z „O'Sullivan Group”.

Melissa poczuła nagle tępy ból w klatce piersiowej. Spojrzała z przestraszeniem na Emily. Przecież ona chyba nie...

Emily odgadła chyba przyczynę jej przerażenia, ponieważ wyprostowała się i przybrała zaczepny - obronny wyraz twarzy. - Dlaczego mamy nie wydawać tych pieniędzy? Należą przecież do nas!

- O jakich pieniądzach mówisz, Emily? - Melissa zmusiła się wręcz do zadania tego pytania, mimo że znała na nie odpowiedź.

- Mówi o pieniądzach, które dostałyśmy za akcje. Należą do nas i możemy z nimi robić to, co nam się podoba.

- Kogo masz na myśli, mówisz „my”?

- Ciotką Margaret i siebie.

Melissa wiedziała, że ciotka Margaret ma udziały w wielu firmach, ale Emily posiada jedynie akcje „Sherman Group”.

- Emily, nie sprzedasz chyba akcji Shermana?!

- Owszem, zrobię to - odparła Emily z irytacją. - Zaoferowano nam wysokie ceny i skorzystałyśmy z czym

pr dzej z tak wietnej okazji. Tobie i reszcie rodziny radz
zrobi od razu to samo.

Melissa poczuła nieodpart ch zępania Emily za
ramiona i potrz ni cia ni gwałtownie.

- Dlaczego nie uprzedziła mnie o swoim zamiarze?
Mogłabym wykupi twoje akcje, eby je utrzyma w rodzinie
- powiedziała z wyrzutem hamuj c ogarniaj ce j coraz
bardziej zdenerwowanie.

Emily wzruszyła ramionami. - Nie był ci , a ten facet nie
chciał czeka . Miała już przygotowane wszystkie papiery i
nawet od razu wystawił czek. Powiedziała e je li przystan na
jego ofert natychmiast, to zapłaci mi tyle, ile ciotce Margaret,
choć nie posiadała tylu akcji, co ona. Gdybym si nie
zgodziła natychmiast, by mo e ju nazajutrz oferowały
znacznie mniej.

- A mo esz mi powiedzie , jak si nazywa ten facet i
skąd był - spytała Melissa znaj c w ciwie odpowied .

- To był niejaki Elliot z „O'Sullivan Group". To oni
wła nie kupili magazyn Neda Bartletta. Wydali ju u nas
mnóstwo pieni dzy.

- Czy pani le si czuje? - spytała ekspedientka, widz c,
e Melissa zbladła raptownie. Podsun ła jej szybko krzesło. -
Mo e pani usi dzie?

Melissa poczuła, e nogi odmawiaj jej posłusze stwa i
skorzystała z wdzi czno ci z propozycji ekspedientki.
Przysiadła na chwil , potem jednak wzięła si w gar i wstała
tak gwałtownie, e o mała nie przewróciła Emily. Pobiegnęła do
wyjcia, sęsz c jeszcze, jak ekspedientka pyta jej kuzynk : -
Decyduje si wi c pani na wszystkie trzy suknie?

- Tak - odparła Emily - bior wszystkie trzy.

Na ulicy Melissa rzuciła si czym pr dzej do budki
telefonicznej Dr cymi palcami wykr ciła numer hotelu, w

którym mieszka Bob. Nie zna co prawda jego dzisiejszych planów, ale przypuszcza, że może wrócić nie do hotelu.

W recepcji dowiedziała się, że pana Whitneya jednak nie ma w pokoju. - Zostawiono ją dla niego kilka wiadomości i wkrótce nie przed chwilą sprawdzam, czy może ją wrócić.

Melissa podziękowała za informację i że za chwilę ci odwieści samochód. Nagle przyszła jej do głowy inny pomysł. Nie będzie szukała numeru biura Boba, tylko pójdzie tam osobiście. Niech jej to wszystko wytłumaczy.

Wiedziała, gdzie mieszczą się biura „O'Sullivan Group”. Zatrzymała taksówkę i kazała się tam zawieźć. Szybko zapłaciła taksówkarzowi, wbiegła po szerokich schodach na górę i skierowała się do windy. Wsiadła na drugim piętrowym. Recepcjonistka spojrzała na nią wyczekując co sponad wielkiego biurka. Tuż za nią znajdowały się drzwi prowadzące do pomieszczeń biurowych i do gabinetu Boba.

Melissa nie zaszczyciła uwag recepcjonistki i pomaszerowała prosto do drzwi. - Ale proszę pani! Kim pani jest? Nie może pani tak po prostu wejść! - usłyszała jeszcze.

Sekretarka spojrzała ze zdziwieniem na Melissę otwierając drzwi. Była to elegancka, siwowłosa pani, ubrana w wspaniale skrojony kostium z lnu. A więc to ona koordynowała terminy Boba i wysyłała go we wszystkie strony świata!

Starsza pani wstała i zasłoniła sobie drzwi do gabinetu Boba. - Czy to jest biuro Boba Whitneya? Chcę z nim rozmawiać i to natychmiast. - Melissa z trudem powstrzymywała ogarniając ją coraz bardziej furia.

Sekretarka chciała jednak zyskać na czasie. - Czy jest pani umówiona? - spytała uprzejmie. Melissa nie odpowiedziała. Nagle drzwi gabinetu otworzyły się i wyszedł z nich Bob w towarzystwie osoby trzymającej pod pachą teczkę z aktami.

O mała nie zderzy się z sekretarką. Dostrzegła Melissę i twarz mu się rozjaśniła.

- Melissa! Co za piękna niespodzianka!

Sekretarka wycofała się dyskretnie za swoje biurko i zagłębiła się w dokumentach, które jej Bob położył. Wydał jej jeszcze kilka poleceń i wprowadził Melissę do gabinetu. - Nie wiedziałam ju, jak wytrzyma do ósmej. Czuję pewnie to samo i dlatego... - chciał wziąć Melissę w ramiona, ale wymknęła mu się.

- Czy coś się stało? - spytał z zdziwieniem.

- Udajesz, czy naprawdę nie wiesz?!

Bob zrezygnował z zadawania dalszych pytań, usiadł za biurkiem i postanowił zaczekać, a Melissa sama wyjawia powód swego nieoczekiwanego przybycia.

- Wiem, ale nie wiesz, czemu tu przyszedłam?

- Słucham, ale nie możesz się ju doczekać wieczoru, żeby mnie zobaczyć. Był rozczarowany, jeżeli okaże się, że jest inaczej.

Te słowa rozgniewały Melissę nie naarty. - Kupiła "Sherman Group"! - krzyknęła zaczerwieniona z emocji. - Ju wtedy, gdy byliśmy na wyspie, prowadziła za moimi plecami pertraktacje z moją rodziną.

Bob patrzył na nią z takim niekłamnym zdziwieniem, że przez chwilę zaczął podejrzewać, że może się pomylił. Przypomniała jednak sobie dokładnie słowa Emily. To „O'Sullivan Group” kupiła jej akcje.

Bob nacisnął kilka klawiszy swego komputera, poczekał, a ukaże się obraz i przeczytał go: - Akcje Shermana posiadali Margaret Andrews, Patrick Wilson, Emily Parker, James Peters, Claire Watson, Jennifer Wilson. - Spojrzył na Melissę. - Co ty masz z tym wspólnego? Melissa machnęła niecierpliwie ręką. - Ludzie, których wymieniłem, są moimi ciotkami, wujkami, kuzynami i kuzynkami. Mojego nazwiska

nie masz na li cie, poniewa dopóki nie sko cz dwudziestu pi ciu lat, moimi akcjami zarz dza jeden z krewnych. - Zacisn ła pi ci. - A ty w ła nie zacz ła je skupywa .

- Hm, to wyja nia, czemu pan Wilson nie sprzeda ła ego udzia ła. Prawdopodobnie zatrzyma ła nie twoje akcje.

- A wi c wiedzia ła o tej transakcji? Oczywi cie! Jake powiedzia ła mi, e w „O'Sullivan Group” adna decyzja nie mo e by podj ta bez twojej zgody.

- I co jeszcze powiedzia ła Jake? - Bob stara ła si mówi spokojnie, ale wida by ła, e jest zdenerwowany. Twarz jego przybra ła nieprzenikniony wyraz, ale Melissa czu ła, e w rodku a si gotuje.

Pochyli ła si ku niej. - Wszystko si zgadza. Kupili my Sherman Group”. By ła to m dre posuni cie i dobry interes. Chcemy wej na rynek australijski. Nie mogli my zignorowa jednego z wa niejszych domów wydawniczych, kiedy dowiedzieli my si , e istnieje mo liwo kupienia go. Byliby my g ła pcami czekaj c, a uprzodzi nas kto inny.

- Ale przecie sam mi powiedzia ła , e jeste cie zainteresowani tylko magazynami.

- Przedsi biorstwo, które nie jest w wystarczaj cym stopniu elastyczne, nie ma szans na prze ycie. W rozmowie z tob powiedzia ła m prawd . Nie interesowa ła nas ma ła pisma regionalne. Ale takie wielkie wydawnictwo jak Sherman Group” to co innego.

- Jestem pewna, e od ciotki Margaret nie wysz ła propozycja transakcji. Kto z twoich ludzi musia ła namówi j do sprzeda y akcji.

Bob patrzy ła na ni zimno, jakby ich nigdy nic nie ła czy ła. Melissa czu ła si tak, jakby nigdy nie by ła cudownych chwil na Killiecrankie Bay i cudownej nocy w jej domu.

Sprawa, z którą przyszła, dotyczyła interesów. Miała wobec tego przed sobą Boba - biznesmena, a nie Boba - kochanka.

- Faktem jest, że do „O'Sullivan Group” zwrócił się jeden z członków twojej rodziny, a mianowicie Emily Parker. To ona powiedziała nam, że twoja ciotka Margaret nie miała by nic przeciwko korzystnej transakcji. Uzgodnili my, że panna Parker dostanie tyle samo pieniędzy za każdą akcję, co pani Andrews, chociaż jej udziały byłyby znacznie mniejsze. Tak, wersja Boba różniła się jednak od wersji Emily. Melissa czuła jednak intuicyjnie, że teraz usłyszała prawdziwą wersję.

- Powiem ci, dlaczego mogliśmy kupić te akcje - mówi dalej Bob.

- Twoja ciotka Margaret była nad wyraz uszczęśliwiona naszą propozycją. Zdaje się, że w ciągu niespełna roku zdecydowała rozprzedać majątek swojego męża, na który ten ci kiedyś pracował przez całe swoje życie; Ta wytworna dama była trochę ponad stan.

Melissa przyznała mu w duchu rację. Nie miała jednak ochoty mówić tego głośno. Spytała cicho: - Te nazwiska, które wymieniliśmy... wszyscy oni sprzedali swoje akcje?

Bob spojrzawszy na ekran komputera: - Wszyscy, oprócz Jennifer Wilson, która zatrzymała swoje udziały.

Ciocia Jenny! Tak, ona jedna... A pozostali? Melissie trudno było uwierzyć, że wujek Pat zdecydował się na ten krok. Pamiętała przecież dobrze, co mówił Bartlettach!

Bob odgadł chyba jej myśli. Powiedziała spokojnie: - Twój wujek jest realistą. Kiedy dowiedzieliśmy, że kupili my udziały twojej ciotki i twojej kuzynki, zorientowaliśmy się, że mamy już w posiadaniu większość akcji. Wykazaliśmy im rozsądkiem, przyjmując naszą ofertę. Zapłacili nam tyle, ile dostali inni.

- Zdradził mnie... oszukał - powiedziała Melissa z ledwie powstrzymanym gniewem. - Tak samo, jak ty. Rozmyśliła swoje plany, żeby mógłby ...

- żeby mógł się z tobą przespać, Melisso - Bob dokończył za nią.

- Nie znasz mnie jeszcze jednak. Jak powinien być ci opowiedzieć o mnie więcej. Nigdy nie miał interesów z życiem prywatnym. To, co zdarzyło się między nami, nie ma nic wspólnego z zakupem akcji. Poza tym nie miałem przecież pojęcia, że masz coś wspólnego z tym wydawnictwem. Nie skojarzyłem z nim twego nazwiska. Nie oszukałem cię więc, Melisso.

Melissa wiedziała, że to prawda, ale w niczym nie zmieniła sytuacji. Była gotowa dać Bobowi wszystko! Wszystko, oprócz dzieła życia jej ojca.

Bob zrozumiał natychmiast, co się z nią dzieje. - Naprawdę nie wiesz, że masz jakiś związek z wydawnictwem. Na liście akcjonariuszy nie było twojego nazwiska i żaden z nich nie nazywa się Sherman, prawda?

- Ale gdyby wiedział, że to by to nic nie zmieniło, zgadza się?

- Tak - brzmiała bezkompromisowa odpowiedź Boba. - Nie rozumiem, czemu się tak denerwujesz - dodał - Nadal jesteś właścicielką swoich akcji i nikt ci nie zmusza do ich sprzedaży. Twoja sytuacja nie uległa zmianie przez to, że inni pozbyli się swoich akcji.

- Jeśli nadal nie widzisz różnicy, to nie bardzo widzę sens tłumaczenia ci tego wszystkiego. - Melissa miała już wyraźny dosyć.

- Ale dobrze, powiem ci, jak ją tu widzisz różnicę. To byłoby rodzinne przedsięwzięcie, prowadzone przez spokrewnione ze sobą osoby. Będzie wyglądało teraz zupełnie inaczej, przejdzie przez ludzi z zewnątrz, dla których liczy się tylko szybki zysk.

- I to ja mam by tym pozbawionym skrupułów człowiekiem z zewn trz, dla którego liczy si tylko zysk? To chciała powiedzie? - spytał Bob chłodno.

Melissa zmieniła temat. - Kiedy dowiedziałam si, e kupili cie wydawnictwo Bartlettów, poszłam do biblioteki publicznej, eby na własne oczy przekona si, w jakim stopniu „O'Sullivan Group” zmieniła zakupione przez siebie gazety i magazyny. To samo stanie si teraz z naszymi pismami. Boli mnie wiadomo tych zmian!

Bob patrzył na ni spokojnie. - Je li rzeczywi cie przejrzysz wszystkie pisma, to na pewno zauważy, e nie wszystkie z nich zostały zmienione. Niektóre trwaj do dzi w zupenie nie zmienionym stanie. Dlaczego wi c s dzisz, e czym pr dzej zabierzemy si za reformowanie pism wydawanych przez „Sherman Group”? Mo e wia nie dostarczymy czytelnikom to, co chc czyta?

- Wiem, wiem - powiedziała lekcewa co Melissa. - Widziałam wywiad z tob na kasecie video. Znam ju twój sposób usprawiedliwiania zmian. Zaprezentowała si wtedy jako bojownik o wolno prasy.

K ciki ust Boba zadrżało podejrzenie i Melissa pomyślała z satysfakcją, e mo e nareszcie uda si jej wyprowadzi go z równowagi. Bob opanował si jednak baskawicznie.

Melissie nie pozostawało ju nic innego, jak najszybciej wyj z gabinetu Boba. Sekretarka spojrzała na ni zdziwiona i otworzyła usta, eby co powiedzie. Melissa nie dała jej jednak szansy. Wyszła na korytarz i pr dko wsiadła do windy.

Bob długo patrzył na drzwi, za którymi zniknęła Melissa. Potem usiadł w fotelu i zaplótł palce obu dłońmi, jak to miał zwyczaj robi zawsze, gdy koncentrował myli na jakim problemie.

Sekretarka stanęła w drzwiach. - Mo e przyjd pó niej - zaproponowała ostro nie. - Trzeba podpisa te listy.

Bob wyprostował się. Potrzebujesz samochodu? - Nie, załatwi to od razu. To wszystko?

Sekretarka skinęła głową. - Wobec tego biorę sobie wolne na resztę dnia. Proszę przywołać samochód.

Sekretarka nie potrafiła ukryć zaskoczenia. Zazwyczaj miała ogromne trudności z namówieniem Boba na chociaż jeden dzień urlopu. Praca była po prostu nagłym jej szefa. Zdawało się nie zauważać upływu czasu i zawsze jako ostatni wychodził z biura.

Ciekawa była, czy ta dziewczyna, która tak nieoczekiwanie tu wtargnęła miała jakiś związek z osobliwym zachowaniem Boba. I kim ona w ogóle była?!

Przyzwyczajona była do licznych telefonów od pana, które szef poznawał na jakich przyjęciach, do rezerwowania miejsc dla niego i którejś z jego towarzyszek w teatrze, czy restauracji. Znała wiele nazwisk i twarzy pięknych panów, ale Melissa widziała go z pewnością po raz pierwszy. Nigdy tego o niej nie słyszała, a była zbyt dyskretna, by pytać o cokolwiek. Wiedziała, że szef nie tolerowałby takiej dociekliwości.

Patrzyła w milczeniu, jak wychodzi z biura. Martwiła się o niego, ale nie mogła mu w niczym pomóc.

Nakazała telefonicznie kierowcy Boba czekać przed wyjściem.

Rozdział 7

Melissa nie mogła sobie przypomnieć, jak trafiła do domu, tak była wzburzona. Po prostu nagle zorientowała się, że stoi przed drzwiami. Weszła do rodzka. Poczuli się nagle bardzo zmęczona.

Rozejrzała się wokół. Nie mogła wprost uwierzyć, że jeszcze przed kilkoma godzinami przepełniała jej bezgraniczne szczęście. Przypomniała sobie, jak obudziła się u boku tego młodego człowieka, który tak ją skrzywdził jak planowali przy nadaniu wspólny wieczór, jak wesoło gawędzili i przekomarzali się. Te plany były już nieaktualne.

Wzrok Melissy padł na obraz, który przed kilkoma dniami zawiesiła na ścianie. Podeszła do niego powoli. Patrzyła na piękny pejzaż przypomniała sobie te wszystkie cudowne chwile, które spędziła z Bobem na Killiecrankie Bay.

Szybkim ruchem zdjęła obraz z haka. Powodowana impulsem schowała go w najciemniejszej szafy. Nie mogłaby teraz jego stać obecności w salonie. Zbyt boleśnie przypominała jej niedawne szczęście.

Zaczęła przygotowywać się do podróży. Dom był jej własnością, nie musiała więc martwić się o czynsz w czasie swojej nieobecności. Nie chciała jednak zostawić go na tak długo bez dozoru. Postanowiła więc poprosić swoją przyjaciółkę Lindę, aby przeprowadziła się do niej na ten okres. Linda z ochotą przystała na tę propozycję. Melissa w nieco lepszym humorze pojechała do miasta, aby załatwić jeszcze kilka drobnych spraw.

Następnego dnia tak spędziła kilka godzin w centrum, a kiedy wróciła, zobaczyła, że jej weranda tonie w kwiatkach. Pokrywa je istny kobierzec z niezliczonej ilości bukietów.

Melissa weszła do domu nie interesując się kwiatami.

Jak zwykle najpierw podeszła do telefonu i przeszła nagranie automatycznej sekretarki.

Drgnął na dźwięk głosu Boba. Nie powiedział o, zaledwie kilka słów: „Melisso, zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz.”

Przewinął tam dalej i za chwilę powtórzył si to samo. „Melisso, zadzwoń do mnie, kiedy wrócisz.” I po chwili ten sam głos, mówił cy to samo. Brzmiało to tak, jakby się pęta zaciął. Bob wydzwaniadł do niej przez całą dzie .

Rozgniewana skasowała cała tam . Potem poszła do s siada. - Panie James, na mojej werandzie leży pełno kwiatów, a jutro wyjeżdżam na kilka miesięcy. Może pańska ona ucieszyaby się z tych kwiatów? - spytał.

Siadłby zachwycony. - wietnie się skada, panno Sherman. Jutro będziemy wnie obchodzili trzydziest rocznic naszego lubu. A więc wyjeżdża pani za granic? Pewnie słobowo. Mam nadzieję, że nie trafi pani w te rejony, gdzie toczy się wojny.

Melissa uspokoiła go wyjaśnij c, że nie specjalizuje się w reportaach wojennych. - W czasie mojej nieobecności wprowadzi się do mnie przyjaciel. Czy może ewentualnie liczy na pana pomoc?

- Oczywiście. Proszę jej powiedzieć, że zawsze będzie miem go ciem.

Melissa wrócił uspokojona do domu, ciągnął z pawlacza walizki i zaczął je pakować. Im szybciej wyruszy, tym lepiej. Nie miał najmniejszej ochoty spotkać się z Bobem. Nie chciał nawet go słysze .

Na wszelki wypadek znowu przeoczył telefon na sekretarkę. Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że jest tchórzem, ponieważ nie ma odwagi stanąć do kolejnej konfrontacji z Bobem.

Zadzwoń do wujka Pata i umów się na spotkanie z nim. Nie miał wciwie ochoty spotykać się z nim przed wyjazdem, ale pomyślał, że dobrze byłoby mieć to za sobą .

Spotkanie nie trwało nazbyt długo. Melissa poinformowała wuja z wyrzutem, że wie o wszystkim.

- Zrozum, Melisso, że to zupełnie inna sprawa niż u Bartlettów. Ned żyje i nadal pracuje, a jego rodzina sprzedaje za jego plecami dzieło jego życia.

- Dlaczego miałoby to być coś innego? Dlatego, że mój ojciec nie żyje i nie mógł zrobić nic, aby zapobiec sprzedaży akcji? - spytała z goryczą.

- Właśnie nie. Nie sprzedajemy swych udziałów, gdyby on żył. Teraz zresztą tego nie zrobimy pierwszego kroku. Kiedy się jednak dowiedzimy, że „O'Sullivan Group” kupiła już udziały Margaret, Emily i Claire, uznajemy, że zatrzymanie akcji jest pozbawione sensu. I tak mieli już wikszość.

Spojrzała na Melissę z irytacją. - Nie wiem, czemu się tak denerwujesz. Nie sprzedajemy twoich akcji, chociaż jako pełnomocnik powinienem działać w twoim interesie. Ale teraz radzę ci po dobroci - sprzedaj akcje. Tak dobra okazja może się ci już nie trafić.

Melissa potrząsnęła głową. - Nie, chcę je zatrzymać.

- Melisso - powiedziała jej łagodnie. - Nie rób wi ci z tych gazet. Byłoby dziełem życia twego ojca, zgoda. Ale na pewno nie oczekiwamy, że zachowamy je przez sentyment do kogoś z życia. W tym świecie nie ma sentymentów, Melisso. Uczczenie pamięci ojca nie polega na bezsensownym przechowywaniu akcji w skarbcu bankowym.

Melissa nie dała się jednak przekonać. Trwała uparcie przy swoim stanowisku.

W drodze do domu rozważała słowa wuja. Był może nie mylił się w swej opinii. Był może ojciec też byłby za tym, aby dostosować się do zmienionej sytuacji.

Nie mogła jednak zapomnieć o tym, co zrobili jej krewni, a przede wszystkim Bob Whitney. Bob nie wiedział co prawda o związku Melissy z wydawnictwem Shermana, nie mógł mu

jednak wybaczy jego bezkompromisowego śnie" na pytanie, czy sytuacja zmieniłaby się, gdyby wiedział

Cała transakcja przeprowadzona wtedy, kiedy Melissa była na urlopie i trudno jej było po prostu uwierzyć, że to przypadek. Gniew jej rosł z minuty na minutę.

Jake, który odwiedził ją po południu, od razu zauważył, że coś jest nie w porządku.

Zauważył natychmiast puste miejsce po obrazie. - Czy musiał coś wstawić do lombardu? Jeśli nie masz forsy, chętnie ci pożyczę.

Melissa próbowała coś odburknąć, ale wspomnienie obrazu było dla niej zbyt bolesne, żeby mogła, ot tak, po prostu przejść do porządku dziennego nad pytaniem.

Jake spojrzał na nią ukradkiem. - Hej, artysta tylko. Jeśli powiedz mi coś głupiego, to przepraszam.

Melissa potrzebowała go z uśmiechem. Ale on znał ją dobrze i nie dał się oszukać. Usiadł na sofie. - Opowiadaj mi tu zaraz, co ci się gnębi. Zostan tu tak długo, dopóki się nie dowiem wszystkiego. Czuj tu jakiś związek z Bobem Whitneyem i ze sprzedażą gazet twego ojca.

- Ale to cię w ogóle nie powinno obchodzić!

- Wszystkie twoje problemy są moimi problemami, ponieważ jestem twoim najlepszym przyjacielem. No, zacznij wreszcie! - ponaglił ją Melissa.

Melissa wahała się jeszcze przez chwilę, ale nie mogła się już powstrzymać. - Za moimi plecami - wybuchła. - To jest wciąż nie najgorsze. Zrobił to za moimi plecami, gdy byliśmy na wyspie!

- Słucham? Powoli! - Jake podniósł głos. - O kim mówisz śmy"? Czy Bob poleciał z tobą na wyspę? Myślałem, że jest w Stanach.

- Bo byłem. Nie poleciałem na wyspę. Pojawiłem się tam pół godziny wcześniej. Po prostu stanął nagle przede mną, ale tego samego

dnia odleciać do Ameryki. Po powrocie do Melbourne dowiedziamsi, że „O'Sullivan Group” zakupiła nasze gazety. A pamiętasz chyba, jak zapewniała nie chcąc kupować gazet, że interesuje ich tylko magazyny.

- Melissa - zaczął Jake z powagą. - Czy Bob starał się na wyspie namówić ci do sprzedaży akcji?

Melissa pokręciła głowę przez co. - Nie, on w ogóle nie wiedział, że posiadam jakiekolwiek akcje. Na moje akcje ma bowiem pełnomocnictwo wujek Pat. Nazwiska Sherman nie ma wcale na liście akcjonariuszy.

- Można więc założyć, że pojawił się na wyspie z powodów osobistych.

Melissa zarumieniła się i to wystarczyło Jake'owi za odpowiedź.

- Powiedziamsi już, Melissa, że tacy jesteśmy, jak Bob, nie chcąc interesów z życiem prywatnym. Pewien jestem, że na wyspie nie myślał w ogóle o interesach. Wyobraź sobie, o czym myślał, ale to jest wasza sprawa i mnie nic do tego. Ale wierz mi, że nigdy nie załatwiał swoich interesów prywatnie.

- Bob wcale nie przypuszczał, że weźmiemy go w obronę.

- Ale taka jest prawda. - Jake nie powiedział jednak, że Bob zadzwonił do niego i opowiedział mu o kłopotach z Melissą. Nie chciał dolewać oliwy do ognia. - Czy widział się z Bobem po tej sprzeczce?

Melissa znowu pokręciła głowę. Jake wstał - Poprzez błąd, Melissa. Ale w końcu jesteś dorosła i sama musisz podjąć decyzję.

Jake po egnał się i wyszedł.

Zaraz potem Melissa zadzwoniła do ciotki Jenny. - Czy mogłabym przyjechać do ciebie jutro i zostać na noc?

- Zawsze jeste mi~~ę~~m go ciem, wiesz przecie dobrze, kochanie - w g~~ę~~sie ciotki brzmi~~ę~~a rado , której nawet nie stara~~ę~~a si ukry .

Nast pnego wieczoru ciotka i Melissa siedzia~~ę~~y przed kominkiem rozgrzewaj c si pyszn kartoflank . Melissa opowiedzia~~ę~~a cioci o zleceniu na seri reporta y. Ciotka patrzy~~ę~~a na ni z podziwem.

- Gratuluj ci, dziecinko! To naprawd doskona~~ę~~e zlecenie. Ale, ale... Skoro wyje d asz na trzy miesi ce, to znaczy, e Bob Whitney nie mie ci si ju w orbicie twoich zainteresowa . Mam racj ?

- Ciociu, opowiedzia~~ę~~m ci przecie o wszystkim. Po tym, co mi zrobi~~ę~~ nie znajdzie ju miejsca w moim yciu. Z ca~~ę~~ pewno ci !

Ciotka Jenny spojrze~~ę~~a na ni z ukosa. - Czy nie potraktowa~~ę~~a tego m~~ę~~dego cz~~ę~~wieka zbyt surowo? My l , e twój ojciec jako businessmen inaczej by podszed~~ę~~do ca~~ę~~j sprawy.

Melissa spojrze~~ę~~a na ni z takim wyrzutem, e ciotka czym pr dzej zmieni~~ę~~a temat. - Cieszysz si na t podró ?

- Ogromnie - odpar~~ę~~a Melissa szczerze. - To b dzie na pewno fascynuj ce prze ycie. Panie, które zgodzi~~ę~~y si na wywiad, reprezentuj bardzo ró ne osobowo ci, wykonuj te ró ne zawody. Odwiedz na przyk~~ę~~ad artystk yj c samotnie na Alasce, której dzie~~ę~~a wystawiane by~~ę~~y w National Gallery. Pojad te do w~~ę~~a cicielki rezerwatu afryka skiego. Umówiona jestem tak e z pewn Australijk , która wysz~~ę~~a za francuskiego handlarza broni .

- Ale to musi by Tolly LeCour! - zawo~~ę~~a ciotka. Melissa spojrze~~ę~~a na ni zaskoczona. - Czy by j zna~~ę~~?

- Tak. Kochana dziewczyna, ale niez~~ę~~a wariatka. Mia~~ę~~a bardzo smutne dzieci stwo, gdy jej rodzice zmarli, gdy by~~ę~~a bardzo ma~~ę~~a. Wzi~~ę~~a j wtedy na wychowanie para

misjonarzy. Tolly i ja poznaemy si kiedy w Queensland. Napisz do niej li cik. Mo e ci si przyda?

- Zrobisz to dla mnie, ciociu? Fantastycznie!

- Dawno si ju nie widziaemy, ale zawsze przesyamy sobie yczenia na Bo e Narodzenie. Wy 1 do niej list, w którym zapowiem twój przyjazd. To powinno przeama pierwsze lody. Powinna te porozmawia z Paulem LeCourem, mimo e nie piszesz o m ach Australijek, tylko o nich samych. Jednak rozmowa z Paulem pozwoli ci peiej nakre li sylwetk Tolly.

- Niew tpliwie. Szytam ju o nim. Zalicza si go do najbogatszych i najpot niejszych handlarzy broni na wiecie, prawda?

- Tak. Tolly miaa zaledwie dziewi tna cie lat, gdy si pobrali. Paul jest od niej co najmniej pi tna cie lat starszy. Przedtem byonaty z pewn Szwajcark . Nie mieli dzieci. Po rozwodzie ona wróciła do Szwajcarii i tam zmarła. Tolly i Paul maj troje dzieci. Do czasu ich narodzin Tolly pracowała razem z Paulem, potem musiaa si zaj dzie mi. Teraz, kiedy dzieci podrosy, znowu pracuj razem, zwaszcz e Paul nie czuje si zbyt dobrze po przebyтым wylewie.

- Szytam, e to ona zajmuje si kupnem i sprzeda broni. Do niezwyk zaj cie dla kobiety. I dlatego w nie mnie zainteresowaa. Koniecznie musz j pozna .

Nast pnego dnia Melissa wróciła do domu. Pomy laa w samochodzie, e wizyta u ciotki bardzo dobrze na ni wpyn a. Bya ju w znacznie lepszym nastroju.

Rozdział 8

Wywiad z australijską artystką, mieszkającą na Alasce, okazał się zupełnie nieudany. Marjorie Adams zalicza się do najnudniejszych osób, jakie Melissa kiedykolwiek spotkała. Zagadką było, w jaki sposób mogła malować tak piękne obrazy. Przez kilka długich godzin Melissa próbowała wyciągnąć z niej coś interesującego. Niestety bezskutecznie. W końcu zdecydowała, że w raporcie skoncentruje się na obrazach, a nie na ich autorce.

Po tym niezbyt obiecującym wstępie Melissa kontynuowała podróż. W Anglii odwiedziła Australijkę, która miała w Manchesterze własną odlewnię. Potem przeprowadziła wywiad z pewną panią z Leeds, właścicielką wspaniale prosperującej tkalni. Oba wywiady sprawiły jej wielką przyjemność. W doskonałym nastroju pojechała do Londynu, aby przez dwa dni odpocząć przed podróżą do Francji.

Melissa znalazła z trudem pokój w małym hoteliku w Paryżu. W tym mieście zawsze było tłoczno. Wypożyczyła samochód na następny dzień, ponieważ LeCour mieszkali bowiem sto kilometrów na południe od Paryża, w dość odludnej okolicy. Można tam było dojechać tylko samochodem.

Drogę opisała jej tak dokładnie, że nie miała żadnych problemów i szybko znalazła się przed rezydencją LeCourów. Imponujący dom otoczony był wypielęgnowanym ogrodem z basenem i kortem tenisowym.

Pierwszą myśl, jaka przyszła Melissie do głowy, gdy zobaczyła Tolly, było potwierdzenie słów cioci Jenny, że Tolly jest nieco zbikowaną dziewczyną. Otóż Tolly stała na drabinie i kłaniała się, na czym wiat stoi, wyciągała z rynny piłki tenisowe.

Melissa weszła na taras, uważając, żeby nie dostać spadających z góry piękami.

- No, niech się pani ruszy. Trzeba pozbiierać pięki, żeby ich psy nie zapały i nie wywlokły nie wiadomo gdzie.

Melissa rozejrzała się dokoła, ale nie dostrzegła nikogo. To polecenie musiało być skierowane do niej. Odłożyła wobec tego torebki i zabrała się do zbierania pięk. Porównała osobę na drabinie z opisem Tolly, przekazanym jej przez ciocię Jenny. Wyglądała na to, że Tolly niewiele się zmieniła. Szeroki, pęski nos, pełne wargi i kręcone ciemne włosy zdradzały, że nie jest Europejką.

Kobieta zeszła z drabiny i przywitała się z Melissą. - Ach, pani jest na pewno siostrzenicą Jenny. Chyba jest nawet pani do niej podobna. Proszę mi o niej opowiedzieć. Mam ją w pamięci jako osobę niezwykle żywotną i pełną energii. Ciekawe, czy bardzo się zmieniła?

- Nie, prawie w ogóle - rozemniała się, czując, że między nią i Tolly nawiązuje się już nie sympatia. - Może ma tylko kilka zmarszczek więcej i więcej siwych włosów. Ale cięgle pełna jest życia. I chyba nigdy nie bywa zmęczona.

Madame LeCour wzięła od Melissy pięki i poprosiła, żeby usiadła przy stoliku.. Poleciła komuś po francusku przynieść napojów orzeźwiających. Potem spojrzała ze złością na rynek.

- Została tam jeszcze co najmniej sześć pięk. Muszę się dzisiaj rozmówić z tymi głupcami. Ostatniej nocy লা jak z cebra, a rynek był zatkaany. Cały taras był zalany.

Widząc bardzo już ten fakt rozgniewała się i mówiła dalej: - W ostatni weekend mój najmłodszy syn Michael zaprosił do nas kilku przyjaciół. Pewnie się nudzili, bo jeden z nich zaproponował zawody polegające na rzucaniu piękami do rynny. Wygrał ten, kto miał najwięcej trafień. Szkoda tylko, że

pó niej nie przyszedł im do głowy powyciągać te pićki z powrotem.

Melissa pokręciła głowę ze miechem.

- Jak długo zostanie pani u nas? - spytał Tolly bez adnego wstępu. - Bagaż zostawi pani pewnie w samochodzie. Zaraz kogoś po niego poślę.

Zaskoczyła Melissę, ponieważ nie liczyła na nocleg u LeCourów. Powiedziała Tolly, że zamówiła już hotel i wszystkie rzeczy zostawiła w Paryżu.

- Nic z tego. Musi pani zostać u nas. Jeden dzień to za mało, żeby się czegoś o mnie dowiedzieć, a przypuszczam, że pani nie traktuje pani swojej pracy. Nie będzie przecież pani jeździć codziennie do nas i z powrotem do Paryża. To przecież ponad dwieście kilometrów w obie strony! W jakim hotelu zatrzyma się pani? Poproś kogoś z biura, żeby odebrał pani rzeczy. My przywieziemy je tutaj.

Tolly LeCour był wnet organizatorką, pomyślała Melissa z podziwem. W mi dzyczasie gospodyni, którą Tolly przedstawiła jako Georgette, przyniosła tacę z napojami. Tolly powiedziała coś do niej po francusku, a potem zwróciła się do Melissy. - Wszystko jest już załatwione. Ulokujemy pani w naszym pokoju z widokiem na ogród. Dzisiaj nie będziemy jeszcze pracować. Mamy trzy dni do dyspozycji, bo pó niej musimy się tylko wyjechać. Dzisiejszy dzień spędzimy zatem na spokojnym lenistwie.

Zdaje się, że Tolly przez spokojne lenistwo rozumiała jednak zupełnie coś innego niż Melissa.

Po lekkim posiłku poszły na długi spacer do wsi. Powrotna droga wiodła przez las. Szły na przelaj przeskakując przez liczne strumyczki. Ledwie dotarły do domu, Tolly zaproponowała, żeby poszły popływać. Tolly pływała tak, jakby chciała zdobyć laury olimpijskie.

Wreszcie nadszedł bardzo ju oczekiwany przez Meliss wieczór. Przebrała się do kolacji marząc w ciemności tylko o Tolly. Tolly zaprowadził ją do gustownie urządzonego salonu. - Prosz sobie wybrać które miejsce przy stole i, bro Bo e, nie rusza się. Za chwilę będzie tu cała reszta i trudno będzie znaleźć miejsce nawet na podłodze.

Kto to może być - ta cała reszta? Wygląda na to, że Tolly liczy na większą grupę gości. I tak też będzie w istocie.

Najpierw pojawił się Paul LeCour z dwoma przyjaciółmi. Przywitał się z Meliss, spojrzał na nią z ukosa i powiedział - Hm, nawet jest pani trochę podobna do ciotki.

- Ja to samo powiedziałam - zawołała Tolly. I za chwilę dodała: - Jest jednak o wiele spokojniejsza.

- Dziękuję Bogu! - Paul wzniósł komicznie oczy ku niebu. - Twoim temperamentem można by oddzielić kobiety z kilku okolicznych wiosek.

Paul rozmawiał widocznie w drodze do domu z przyjaciółmi o interesach, bo kiedy usiedli w salonie, zaczęła kontynuować rozmowę. Melissa była trochę zaskoczona, szczególnie, jak lekko traktuje pieniądze i zysk. A jednak w tym domu czuła się bogactwo. Nie było tu co prawda jakichś nadzwyczajnych luksusów, ale panowała w nim atmosfera komfortu i elegancji.

Nagle do salonu wpadła hałaśliwa gromadka młodych ludzi. Były to dzieci LeCourów, z których każda przyprowadziła ze sobą kilkoro przyjaciół.

Jako pierwszego przedstawiono Melissie Michaela. Był to dzieje jego urodzin, wcale nie skończył trzynastu lat. Michael był wysokim, szczupłym, ciemnowłosym chłopcem. Jego brat Etienne był od niego dwa lub trzy lata starszy. Na koniec weszła do pokoju ich siostra Francine. Ona z kolei miała jasne włosy i delikatne rysy twarzy odziedziczone najwyraźniej po ojcu. Była najstarsza z trójki rodzeństwa. Mieszkała już w

Paryżu, gdzie miała własne mieszkanie. Teraz za przyjechała na urodziny brata.

Wszyscy przywitali się grzecznie z Melissą. Jeden z kolegów Michaela powiedział cicho do niego. Michael zapytał Tolly:

- Czy będzie jeszcze trochę czasu przed jedzeniem, żeby zagrać w tenisa?

- Obawiam się, że nie znajdziecie pięt - powiedziała Tolly wesoło. Michael patrzył na nią przez chwilę nie rozumiejąc. - Ale one... - urwał uśmiechnięty szelmowsko: - Oooch...

- No, wcale nie - ooch!

- Zaraz jesteśmy wycigniemy. Chodcie - powiedział do kolegów. Paul LeCour rozejrzał się. - / atwiej utrzyma worek pełen ich w domu.

Pewnie tak jest naprawdę, pomyślała Melissa. Co innego to byłoby pewne. Ciocia Jenny miała naprawdę miłych przyjaciół i wietnie się składa, że Tolly jest taka aktywna. Melissa nie będzie miała czasu na rozmowy o... o Bobie.

Wyraz twarzy Melissy zmienił się na wspomnienie tego momentu. Szkoda, że musieli się rozstać. A może to była jej wina? Może przez swój upór wyrzucił Bobowi krzywdę? Może ciocia Jenny miała jednak rację?

Ale co z tego? Ich romans skończył się, zanim się na dobre rozpoczął. Byłoby może nigdy już nie zobaczył Boba. Może tak byłoby lepiej...

Paryż.

Madame Villiers sprzątała w klatce schodowej, gdy usłyszała kroki. Poznała lokatorkę z trzeciego piętra i uśmiechnęła się z uznaniem.

Madame Potter nie była wprowadziła Francuzkę, ale była z niej idealna ona. Czysta, porządna i oszczędna.

Ci mędźi ludzie przed dwoma tygodniami wprowadzili si do domu, w którym madame Villiers była dozorczyńi . Pani Potter od razu wypytała j o mo liwo ci tanich zakupów. Którego dnia madame Villiers zaniosła nowym lokatorom poczt na gór i stwierdziła, e mieszkanie utrzymane jest w idealnym porz dku.

Madame Potter ch tnie robiła zakupy tam, gdzie mo na być zaoszcz dzi par groszy lub dosta wie sze warzywa. Zawsze czekała na m a z obiadem, gdy wracał z pracy, a zapachy dobiegaj ce z jej kuchni były bardzo apetyczne.

Pan Potter, solidny, mędy człowiek, tak e był cudzoziemcem. Powiedział e pracuje jako ksi gowy w pewnej firmie. Cz sto przynosił do domu cał mas papierów.

- Uwa a, e w domu lepiej mo e skoncentrowa si na liczbach, bo tu jest spokojniej - powiedziała kiedy jego ona.

I rzeczywi cie, nowi lokatorzy byli bardzo spokojni. Nie wyprawiali adnych hała liwych przyj , nie sła chali gło nej muzyki, nie kłócili si . Przyjaciele i znajomi, którzy ich czasem odwiedzali, zachowywali si te tak cicho i spokojnie, e dozorczyńi cz sto nawet nie zauwa ała ich obecno ci.

Tego dnia męda ciemnowłosa pani Potter poszła jak zwykle w sk uliczk na targ, znajduj cy si dwie przecznice dalej. Madame Villiers ucieszyła by si widz c, jak targuje si przy stoiskach, jak porównuje ceny, jak przebiera w warzywach i owocach, zanim zdecyduje si na kupno czegokolwiek.

Dziwne było tylko to, e madame Potter najwyra niej nie miała zamiaru robi adnych zakupów. Efektem jej dęgotrwałych ogl dzin było tylko kilka cebul w koszyku.

Męda kobieta przeszła przez plac targowy, skr ciła na lewo i znikn ła w sklepie z artykułami gospodarstwa domowego. Wida była, e wie, po co tu przyszła. Zdecydowanym krokiem podeszła do jednego z regałw,

wybrała kilka rzeczy i zapłaciła za nie przy kasie. Włożyła wszystko do koszyka i nakryła kraciatą ciereczką.

Wyszła ze sklepu i tuż po drodze wróciła do domu. Zanim skierowała się w uliczkę prowadzącą do domu, ukryła cebule tak, by były niewidoczne. Z niechęcią uśmiechnęła się do pani Villiers, która siedziała przy otwartych drzwiach w swoim mieszkaniu na parterze.

Monsieur Potter wrócił punktualnie do domu. Uprzejmie ukłonił się madame Villiers. W jednej ręce jak zwykle trzymał kilka teczek z aktami.

- Za duży pan pracuje - powiedziała dozorczyńca z naganą. Wzruszyła ramionami. - Sukces może osiągnąć tylko ci, którzy pracują, madame - uśmiechnęła się. Poszedł schodami na górę.

Cóż to za urocza para, pomyślała madame Villiers z rozrzewnieniem.

- Mam nadzieję, że wszystko dostanie - w ten niezbyt uprzejmy sposób pan Potter przywitał kobietę.

Pokazała gościowi koszyk stojący na stole. Jego zawartość nadal przykryta była kraciatą ciereczką.

- Charles i Philippe są już w drodze. Z kryjówek nie ma żadnych problemów. Sprawdzili my wszystko.

Może czytać zdjęcie marynarki i zainteresowała się koszykiem. Patricia Delaney spojrzała znad księgi, którą w ręku nie czytała.

- A inni?

- Johann i Peter obserwują dom LeCourów. Daniel i Stefan są w Calais. Dobra wiadomość.

- Niedługo więc zaczynamy?

Pan Potter kiwnął głową. - Gdy tylko Charles i Philippe przyjdą, zaczniemy obserwować mieszkanie dziewczyny. Teraz pojedzie na wieś, bo jej brat ma urodziny. Powinna wrócić pojutrze, tak przynajmniej wynika z planu jej zajęć.

- A co z Justinem?

- Kto do niego zadzwoni i powie mu, że jeśli dziewczyna wyjedzie do Pary. Musi być w gotowości.

Maryczka wyrzuciła zawartość koszyka na stół. Otworzyła swój teczek. Madame Villiers zdziwiła się, widząc, co wyjmie z niej. Nie były to księgi rachunkowe, ani wydruki z komputera.

Potter wyciągnął metalowy kwadrat, kilka baterii, kabelek kolorowego sznurka, lina, klamry i rolkę pętla eglarskiego. Rozwinęło się pętko, z którego wypadło kilka narzędzi.

Potter zaczął to wszystko składać razem, młoda kobieta wróciła do księgi.

Na kuchence gazowej stał jeden jedyny garnek, w którym coś się gotowało bez pokrywy. Madame Villiers zdziwiła się, widząc, że jest tam tylko woda z kilkoma rodzajami ziół.

Maryczka skończyła swoje zajęcia i wskazała na mapę pudełka.

- Gdy ktoś będzie próbował nas zabić, to go powstrzyma. Trzeba tylko porzucić druty i rzucić za siebie. Efekt gwarantowany - nie będzie ulicy, którą ktoś nas będzie gonił. Jeśli ktoś będzie miał szczęście, to może go gonić dalej, ale na piechotę.

Poszedł do kuchni. Zrobił sobie i kobiecie po kawie i coś do jedzenia. Potem oparł się na stole i zasnął mocno.

Patricia Delaney spojrzała na niego spod księgi. Zastanawiała się, czy plan jest rzeczywiście dobrze przemyślany.

Wróciła mu 10 dni, w którym poznała Donalda Fitzeralda. Spotkała go na przyjęciu u przyjaciół w Londynie, ale wcale ciw nie zwróciła na niego uwagi. Nie wiedziała, kto go tam zaprosił. Przedstawiono ich sobie, ale ten Maryczka w ogóle jej nie zainteresował.

Spotyka go pó niej wiele razy na ró nych przyj ciach i w ko cu zacz a si zastanawia , kim jest i sk d si nagle pojawi w ich kr gach.

Dowiedzia si , e mieszka w Londynie i e przed oko czterema laty znikn z pola widzenia znajomych. Potem pojawi si tak samo nagle, jak znikn Opowiadano o nim osobliwe historie, które zaintrygowa Patrici . By zawodowym o rkiem, potem zacz pracowa jako najemnik. Sp dził jaki czas w Po dniowej Ameryce i w Afryce.

Nawi za si mi dzy nimi jaka szczególna wi . Czasami widywali si codziennie, czasami nie spotykali si i przez miesi c. Poznali si bli ej, ale nie by to aden sta zwi zek. Czasami wychodzili z przyj cia razem, czasami osobno. Czasami nocowali u niego, czasami u niej.

Dopiero po roku znajomoci Donald zacz mówi o planie, z którym najwyra niej nosi si ju od dawna. Przez ca rok sprawdza i ci gle nie by pewien, czy mo e jej zaufa . Ka de z nich mia w tedy jeszcze swoje własne mieszkanie. Potem Donald zaproponowa eby zamieszkali razem i Patricia po krótkim zastanowieniu przysta na t propozycj .

Kilka tygodni pó niej le eli w wielkim ku, z którym Donald wprowadzi si do niej. Patricia s cha uwa nie s w Donalda.

- Du e pieni dze robi si na dostawie broni, a nie na jej u yciu. Ale dost p do broni nie jest wcale taki twy. Pozyskanie broni z magazynów wojskowych by by zbyt ryzykowne. Nigdy by si to nam nie uda . Ale w ko cu kto t broni handluje. Niektórzy z handlarzy kontroluj ca ten biznes, poza wojskiem, ma si rozumie .

- Ale ich magazyny są z pewno ci tak samo dobrze strzeżone, jak magazyny wojskowe. - Patricia nie przeczuwała jeszcze, o co chodzi Donaldowi.

- Owszem, ale są sposoby, by wyciągnąć od handlarzy broń ... Donald nie powiedział jej nic więcej. Patricia dłużej ale z otwartymi oczami, zastanawiając się nad słowami najemnika.

Tydzień później dowiedziały się wszystkiego.

- Uprowadzi kogo z rodziny? Czy ty zwariowałaś - Od początku była przeciwna temu planowi, nie mogła się już jednak wycofać. Zamieszkała więc z nim w tym małym paryskim mieszkanku, które było punktem kontaktowym dla kumpli Donalda. Grała rolę młodej małżonki, aby nie wzbudziła podejrzeń sąsiadów. I musiała patrzeć, jak buduje minę, aby przeszkodzić w pogoni. Nie mogła zrozumieć, jak to się stało, że ona sama bierze udział w tym obcym przedsięwzięciu.

Rozdział 9

Melissa zamierzała przeprowadzić wywiad z Tolly LeCour, nie mogła jednak pominąć Paula, zwłaszcza, że Tolly przejął w końcu jego interesów.

Zanim pojechała do Francji, zebrała informacje o Paulu. Dowiedziała się kilku interesujących rzeczy. Zawsze się mówiło, że handel bronią jest jak bardzo tajemnicza sprawa. Tymczasem odniosła wrażenie, że dla Paula LeCoura byłoby to całkiem normalny zawód. Starannie omijał ciemne strony tego interesu i trzymał się ściśle przepisów prawnych.

Miał magazyny w Afryce, Holandii i Francji. Wydawało się, że nie jest zainteresowany wielką bronią, przy pomocy której można by wygrać wojnę. Sprzedawał tylko "małą broń" - pistolety i karabiny maszynowe. Miał jakiś szczególny zmysł, którym tropił źródła taniej broni. Poza tym mógł się poszczycić dużym talentem do znajdowania dobrych kupców.

Melissa zagadnęła Paula LeCoura o jego interesy. Rozmawiał z nią szczerze. Nie ukrywał, że jego transakcje uczyniły go milionerem i umożliwiły zapewnienie rodzinie luksusowych warunków życia.

- To nie ja wynalazłem noże, pistolety czy armaty. Broń istnieje od kiedy na ziemi są ludzie. I jeżeli nie ja sprzedam ludziom broń, uczyni to ktoś inny! Dla mnie, Melisso, jest to interes jak każdy inny. Ja nie opowiadam się za żadną ze stron, sprzedaj broń każdemu, kto zapłaci ustaloną przeze mnie cenę. Czy stało się, że obie strony toczyły wojnę posługując się kupioną ode mnie bronią.

- A czy sam nosi pan przy sobie broń? Tu, w domu?

Paul uśmiechnął się. - Proszę nie myśleć, Melisso, że jest coś podniecającego i tajemniczego w tej grze. Nie, w domu nie mam żadnej broni oprócz mojej kolekcji, której okazy są już prawie antyczne, a poza tym w szklanych gablotkach. Nie

mam te swoich goryli. Przykro mi, jeśli pani rozczarowała, ale mój zawód jest w takim stopniu dramatyczny, jak każdy inny. Bro jest towarem. Sama bro nie wyrządza żadnej szkody. Ale proszę pamiętać, że poświęć się ni ludzie.

Melissa ciekawa była, jaki stosunek ma Tolly do działalności jej matki. Spytała ją o to, gdy została sama. - To znaczy, że kiedyś może sobie od was kupić bro ?

- Istnieją pewne ograniczenia narzucone przez rząd. Z niektórymi krajami nie wolno nam robi interesów - odpowiedziała Tolly. - Ale zasadniczo każdy, kto ma pieniądze...

- Nawet terroryści?

Tolly zawahała się. - Melissa, terroryści bardzo często uważają się za bojowników o wolność, podczas gdy ich aktualne rządy nazywają ich rebeliantami. Pani jako dziennikarka wie chyba, jak szybko wczorajsi się stają dzisiejszymi dobrymi. Dzisiejsi potęmiący mogą zostać jutrzejszymi sojusznikami. Zawsze tak było.

Melissa nie wiedziała, czy ma być przerażona, czy raczej wdzieczna za tę szczerość.

- Niech pani przypomni sobie podręcznik do historii i amerykańską rewolucję. Rewolucjoniści byli dla brytyjskiego rządu zdrajcami, rebeliantami, terrorystami... czym pani chce. Wyobraź pani sobie, w jaki sposób pisały o nich angielskie gazety? A teraz niech pani przypomni sobie dwie ostatnie wojny światowe, w których oba kraje występowały jako bliscy sojusznicy.

Melissa postanowiła skierować rozmowę na inne tory. - Jak wycenia się wartość broni? Myślę, że nie wszystko, co sprzedajecie, jest nowe i w dobrym stanie.

Tolly wzruszyła ramionami. - Podobnie, jak przy innych towarach. Weźmy na przykład meble. Za mebel

wyprodukowany niedawno, odpowiadajcy pewnym wymogom jako ci, trzeba zapłacić określoną cenę. Podobny mebel, wyprodukowany przed dziesięcioma czy piętnastoma laty, uważany jest za używany i ma znacznie niższą wartość.

Z kolei, jeżeli można udowodnić, że powstał przed stu laty, uważany jest za antyk i jego cena różni się nieznacznie. Podobnie jest z bronią.

Melissa chciała zada Tolly jedno pytanie. Pewna była, że stawiano jej jej niejednokrotnie, ale bardzo chciała znać odpowiedź.

- Czy pani nie zastanawia się nad tym, jak pójdzie u pani si "stowaru"? Broń używana do zabijania ludzi - bardzo często niewinnych.

Wyraz twarzy Tolly zdradził, że coś miało ją do czynienia z tym pytaniem. Ani sekundy nie zwlekała z odpowiedzią. - Czy ja mam ponosić odpowiedzialność za to, jak się jej użyje? Mam wiele ostrych noży w kuchni. Jeżeli któregoś dnia ogrodnik dostanie pomieszanie zmysłów i zakłóci kuchennym nożem Georgette, to czy ja bym za to ponosiła odpowiedzialność?

Melissa pomyślała, że noże kuchenne mają jednak inne, pokojowe przeznaczenie, a pistolety i karabiny służą tylko do zabijania, nie powiedziała jednak tego głośno. Miała bowiem opisywać fakty, powstrzymując się od ich komentowania.

Zauważyła obronny postaw Tolly i jak niepewno w jej głosie. Odniosła wrażenie, że jej rozmówczyni nauczyła się na pamięć tych słów, ale wcale nie była przekonana o ich słuszności. Mówiła tak, jakby sama siebie chciała przekonać, że w jej postępowaniu nie ma nic złego.

Wrażenie to pogłębiło się jeszcze, gdy Tolly wstała i podeszła do okna. Stojąc plecami do Melissy, powiedziała: - Myślę, że gdyby ostateczne decyzje zależały od kobiet, to nie byłoby w ogóle tego problemu. Kobiety zastopowałyby

produkcji broni. - Westchnęła głębiej. - Co pani o tym sądzi, Melisso? Czy to zupełnie nierealne marzenie z gatunku science-fiction?

Tolly odwrócił się, wyraźnie przygnębiona. - Oczywiście, nie ma najmniejszej szansy, żeby to marzenie przerodziło się w rzeczywistość. Wojny istnieją od zarania ludzkości. A jak długo będzie wojny, tak długo potrzebna będzie broń. To wszystko.

W przedpokoju zadzwonił telefon. Tolly podeszła do niego z ulgą. Miała już do tego przesycenia.

Melissa rozejrzała się po pokoju, notując sobie wszystkie szczegóły, potrzebne do oddania atmosfery tego miejsca. Nie wiedziała, jak precyzyjny czytelnik wyobrazi sobie dom handlarza broni. Może powinny wisieć tu rzadkie pistolety na ścianach, może w kątach powinny stać stojaki z karabinami, może na trawniku powinny znaleźć się dwie armaty... Melissa uśmiechnęła się do siebie. Nic z tego. Wystrój domu absolutnie nie wskazywał na zawód walczyka.

Poszła do pokoju, który Tolly nazywał "szóstkowym salonem". Był to mały pokój, usytuowany tuż za gabinetem Paula. Utrzymany w różnych odcieniach błękitu był znacznie przytulniejszy niż duży salon z drugiej strony domu.

Melissa szukała albumu z fotografiami. Mogła jej się przydać do artykułu. Usiadła na parapecie, bo tam była najciszej.

Wybrała kilka zdjęć i odłożyła album z powrotem na miejsce. W pokoju było mnóstwo zdjęć wiszących na ścianach i stojących w ramach na meblach.

- Proszę tu na mnie poczekać - zawołała do niej Tolly. - Kiedy skończą rozmowy, napijemy się herbaty.

Za chwilę weszła do błękitnego salonu razem z Georgette, która niosła tacę z zastawą. Melissa wzięła wódkę nie do ręki, tylko kolejną zdjęcie i o mało nie upuściła na podłogę.

- O, widz , e odkrył pani moje ulubione zdjęcie Francine - powiedziała Tolly serdecznie.

Ale na zdjęciu wcale nie było Francine i Tolly zauważyła to. - Ach, nie, to jeden z naszych najlepszych przyjaciół Bob Whitney... - wyjechała i spojrzała na Melissę. - Prawdopodobnie zna go pani, jesteście z tej samej branży.

Melissa zmusiła się do uśmiechu. - Och, chyba kałdy wie, kim jest Bob Whitney - odparła na pozór spokojnie.

- Paul powiedział mi, e Bob jest w Australii. Wiem o tym ał nazbyt dobrze, pomyślała Melissa.

Ustawiła fotografię na miejsce. Z irytacją stwierdziła, e jej palce drżą. Przypomniała sobie jego słowa. "Nigdzie przede mną nie uciekniesz. Wszędzie cię odnajdę" - powiedziała. - Chyba miała rację, do diabła...

Jedli wjechała niekolacja, gdy jakieś auto zajechało pod dom. Georgette poszła otworzyć drzwi. Melissa usłyszała znajomy głos i za chwilę w drzwiach salonu stanął Bob.

Tolly ał podskoczyła do góry z radością na jego widok. Paul podbiegł do niego z rozpostartymi szeroko ramionami. Francine z okrzykiem radości rzuciła mu się na szyję.

W tym zamieszaniu Bob nie od razu zauważył Melissę, siedziała cicho na swoim miejscu za stołem.

- Melissa...

Bob szedł do niej, zatrzymał się jednak gwałtownie widząc jej zimny wzrok. Wyraz radości znikł z jego twarzy.

Tolly nie zwróciła uwagi na tę scenę. Zawołała wesoło: - Co za przypadek! Dziś w końcu nie oglądali my z Melissą twoją fotografię i ałował my, e nie zdążyliście się poznać w Australii.

Bob uniósł brwi. - Przecież się poznaliśmy, prawda, Melisso?

Georgette przyniosła w tym momencie Bobowi coś do jedzenia. Melissa odetchnęła z ulgą, bo zmieniono temat rozmowy.

- Jak długo będziesz u nas tym razem? - chciał wiedzieć Paul.

- Przyjeżdżam tylko na jedną noc. Rano mam naradę w Paryżu u Francine klasnął w dzień. - wietnie się składa. Ja też muszę jutro wracać do Paryża, więc się zabiorę z tobą.

Melissa była bardzo rozmówna przez całą wieczór. Mimo woli wzrok jej w drowała ci głębiej w stronę Boba, przyciągał ją jak dziwny magnetyczny siła.

Nie wiedziała, czy cieszy się czy smuci z powodu jego rychłego odjazdu.

Następnego ranka stała w oknie swego pokoju patrząc, jak Francine sadowała się na miejscu obok kierowcy w samochodzie Boba.

Bob rozemniał się z czegoś, co dziewczyna powiedziała i Melissa poczuła się zazdrosna. Czemu nie ona wsiadała do samochodu, żeby odjechać razem z nim?

W czasie jazdy do Paryża Bob i Francine rozmawiali o wywiezieniu. Bob nawet nie zwrócił uwagi na mały niebieski samochód jadący w pewnym oddaleniu za nimi.

Kierowca tego samochodu zadzwonił do Patricji. - Jedź Peugeotem do Paryża z jakimś ciemnowłosym mężczyzną.

Patricia natychmiast podała wiadomość dalej. - Justin? Już. Jedź z kimś innym Peugeotem. Może wejdzie z nim do mieszkania. Charles i Philippe będą ich obserwować. Stój chwilę na rogu i czekaj na sygnał ode mnie!

W zaparkowanym niedaleko mieszkania Francine samochodzie siedziało dwóch mężczyzn. Obserwowali uważnie okolice. Na widok nadjeżdżającego ciego białego peugeota jeden z nich wysiadł, schylił się i udawał, że rozmawia z

kierowca. W rzeczywistości ci nie spuszcza wzroku z peugeot'a i jego pasażerów.

Francine pojechała z Bobem, zabranając torbę i wysiadła z samochodu. Bob pomachał jej jeszcze ręką, po czym odjechał.

Możesz obserwować ją przez chwilę, dała sygnał Justinowi stojącemu na rogu. Ten przebiegł przez ulicę i dyszał, jakby miał ciężki męczący go ciężar, zawołał:

- Francine... Francine...

Francine spojrzała na niego zaskoczona. - Pewnie mnie nie kojarzysz - powiedziała - ale dopiero od tygodnia studiuję w szkole aktorskiej...

Francine zmarszczyła czoło. - Chyba ci już widziałem. Twoja twarz wydaje mi się znajoma. Ale nie jesteś chyba ze mną w grupie, prawda?

Nie, Justin nie był w grupie. Przez kilka dni z rzędu przychodził pod szkołę i po zajęciach usiadywał w mieszkaniu studentów. Chciałaby zapamiętać jego twarz. Raz celowo potrącił ją na schodach i przeprosił z miechem. Innym razem zderzył się z Francine na korytarzu i upuścił jej książkę na nogi.

Chciałaby uniknąć dodatkowych pytań, powiedziała teraz szybko: - Próba ta cała ma się odbyć dzisiaj. Jeśli się nie pośpieszysz, może nie zdąży.

- Próba ta cała do naszego pokazowego przedstawienia? - zdziwiła się Francine. - Przecież miała być w przyszłym tygodniu.

- Została przełożona. Jeden z członków jury wyjeżdża w przyszłym tygodniu do Stanów, dlatego ma się odbyć dzisiaj. Próbowaliśmy dozwonić ci do domu, ale nie było cię. Ktoś powiedział, że wyjechała na weekend na wieś. Ponieważ dzisiaj rano nie miałem żadnych zajęć, zaproponowałem, że wpadnę do ciebie i powiem, co i jak.

Francine była zmieszana, podniecona i zakłopotana jednocześnie. Spojrzała na zegarek. - Ile czasu zostało do rozpoczęcia próby?

Justin wziął jej torbę. - Możemy zabrać taksówkę. Tam, na rogu, jest zresztą postój.

Wziął ją pod ramię i poszli. Po kilku krokach zatrzymała się nagle. - Och, ale mamy szczęście - zawołała radośnie. Pomachała do mężczyzny, stojącego przy swoim samochodzie. - Peter, dobrze, że cię spotykam. Słuchaj, musimy jak najszybciej znaleźć się w szkole aktorskiej. Mogłoby nas tam podzucić? - Odwróciła się do Francine i wyjaśniła - Peter jest moim dobrym kumplem, na pewno nam pomoże.

Mężczyzna ucieszył się na widok Justina. Zamienili kilka słów i za chwilę wszyscy siedzieli już w samochodzie. Kierowca ruszył i samochód odjechał.

Rozdział 10

Kolejne przedpołudnie u LeCourów upłynęło bardzo szybko. Melissa przejrzała jeszcze raz notatki i uzupełniła to i owo. Tolly dał jej adres pewnej Australijki z Lyonu, która miała zakład koronczarski.

Późnym popołudniem Melissa zapakowała bagaż do samochodu. Przed wizytą w Lyonie chciała jeszcze pojechać do Paryżu. W końcu nie z Paulem, gdy zawołano go do telefonu.

Tolly objął Melissę serdecznie. Melissa bardzo polubiła tę energiczną kobietę, chociaż znała ją zaledwie kilka dni. Zrozumiała ją, dlaczego ciocia Jenny wyrażała się o niej z taką sympatią. Tolly LeCour należał do ludzi, o których nie sposób było zapomnieć.

W Paryżu Patricia Delaney miała mnóstwo roboty. Zapakowała tylko to, co miała w swojej torbie na zakupy. Zawsze we wtorek chodziła z tą torbą na zakupy.

Madame Villiers się dziwiła, zresztą o to wcale nie chodziło, że we wtorek oszczędna pani Potter robi zakupy tylko w ci. Patricia ustawiła torbę i kosz pod drzwiami i rozejrzała się jeszcze raz po mieszkaniu. Nie mogła zostawić niczego, co mogłoby naprowadzić na jej lub Donalda ład.

Zeszła potem schodami kłaniając się uprzejmie dozorczyńni. Madame Villiers patrzyła, jak wychodzi przez bramę i kieruje się w stronę targu. Ten dzień będzie wspominała po latach, ale na razie niczego jeszcze nie przeczuwała.

Madame Villiers była trochę zdziwiona, że młoda kobieta nie wróciła w południe do domu. Może miała więcej rzeczy do kupienia, może poszła do dentysty, może spotkała przyjaciółkę i poszła razem na lunch.

Dozorczyńni zaniepokoiła się na dobre dopiero po południu. Pan Potter powinien wrócić niedługo do domu, a

tymczasem nikt mu nie przygotował obiadu. Dozorczyńnię pomyliła, a może nie zauważyła powrotu pani Potter. Poszła więc na górę i zapukała do drzwi. Nikt jej nie otworzył z mieszkania państwa Potterów nie dochodził żadnego szmeru. Pani Villiers zeszła na dół i czekała dalej.

Pod wieczór wezwała policję. Policjanci byli bardzo grzeczni i sympatyczni. Poszli z madame Villiers schodami na górę. Dozorczyńnię otworzyła drzwi zapasowym kluczem i weszli do mieszkania.

Mieszkanie było czyste, panował w nim nienaganny porządek. Została wynajęta razem z umeblowaniem, ale między ludźmi przywieźli też swoje rzeczy - poduszki na sofę i narzut na krzesło. Wszystko to było w mieszkaniu, ale szafa na ubrania wieściła pustkami. Tylko w komodzie znaleźli zmieszane koszulki nocne, bieliznę i kilka bluzek.

Kuchnia także okazała się wielką zagadką dla pani Villiers. Oprócz chleba, sera, paczki ziółek do kawy i paczki kolumbijskiej kawy, nic w niej nie było.

Dwa tygodnie później stało się jasne, że państwo Potter nie wrócą. Villiers przyjęła więc nowych lokatorów. Kawę i ubrania wzięła do siebie. Ubrania włożyła do szafy, a kawę używała tylko w szczególnych okazjach. Za każdym razem, gdy piła aromatyczny napój, zastanawiała się, co to mogło stać się z tym młodym małżeństwem.

Melissa miała nadzieję, że bezpośrednio po wizycie u LeCourów będzie mogła pojechać do pani LaBatiste do Lyonu. Ku swemu rozczarowaniu dowiedziała się jednak, że nie ma jej w domu i że wróci dopiero za tydzień. Postanowiła więc wyjechać do Stanów na umówione tam spotkanie, a potem wróci do Francji.

Znaczyło to jednak, że noc musi spędzić w Paryżu. Nie chciała jednak siedzieć samotnie w pokoju hotelowym. Potrzebowała towarzystwa. Przejrzała telefony i adresy

swoich europejskich przyjaciół. Zatrzymała wzrok na jednym nazwisku i twarz jej się rozjaśniła. Tak, to doskonały pomysł, aby tylko Jerry był w Paryżu...

Był w Paryżu i bardzo ucieszył się z telefonu Melissy. - Przyjadź po ciebie o ósmej i pójdziemy coś zjeść.

Jerry Romano był wietnym kompanem, zawsze w dobrym humorze, zawsze szarmancki i dowcipny.

Pierwszą połowę wieczoru spędzili w barze, w którym spotykali się głównie dziennikarze i fotoreporterzy, potem zaś poszli do jednego z bardziej ekskluzywnych klubów Paryża.

Melissa spojrzała z wdziacznością na Jerry'ego siedzącego naprzeciw w wielkim fotelu. - Jerry, jesteś prawdziwym skarbem. Kilka ostatnich dni spędziłem na rozmowach z ludźmi handlującymi bronią. Było to doświadczenie. To co prawda czarujący ludzie i miałem z nimi doskonały kontakt, ale przez cały czas miałem wiadomość, w jaki sposób doszli do swego majątku i ile nieszczęść powoduje na świecie broń, którą sprzedają. Ten wieczór z tobą pozwolił mi trochę odetchnąć.

Jerry pokiw głową ze zrozumieniem. - Miałem kiedyś napisać reportaż o wielokrotnym mordercy. Tak się zdarzyło, że był to mój szkolny kolega, z którym przyjaźniłem się przez całą latę. Nie mogłem uwierzyć w jego zbrodnię. Dokonał jednak rzeczywiście i nawet się nimi szczycił. Byłem rozdarty uczuciowo między nienawiścią, odrazą i litością. Musiałem poprosić kogoś innego o przeprowadzenie wywiadu z nim.

Melissa zgodziła się. - Tak, sprawa emocjonalnego zaangażowania jest w naszej pracy czystą barierą nie do pokonania.

Melissa rozejrzała się wokół siebie i o mało nie zachłysnęła się drinkiem, który wcale nie piła.

Szerokimi schodami schodził w dół nie kto inny, jak Bob Whitney. Obejmował ramieniem fantastyczną młodą dziewczynę.

Melissa rozpoznała w niej Jamie Ferguson, której zdjęcie widniało niedawno na tytułowych stronach gazet. Obleciała wiat jednosilnikowym samolotem. Uroda i upór, wdzięk i odwaga jednoczyły się w tej młodej kobiecie w harmonijną, spójną całość. Media miesiącami donosiły o jej przygodach.

Jamie spojrzała rozpromieniona i szczęśliwa na Boba. Właśnie podbiegł do nich fotoreporter i pstryknął im kilka zdjęć. Melissa była pewna, że zobaczy je jutro w gazetach.

Oburzony maitre d'hotel wyprosił ją z baru. Wyszła bez protestu, zadowolony, że nie zabrano mu filmu. Wiedziała, ile warte są te zdjęcia.

Melissa prawie nie zauważyła tego incydentu. Patrzyła na Jamie, pogryzioną w niewygodnej rozmowie z Bobem. Ponieważ byli zbyt daleko od niej, nie słyszała, o czym mówią, ale Bob sprawiał wrażenie zrelaksowanego i zadowolonego z życia.

A więc dlatego tak się spieszyła powrotem do Paryża.

Dobry nastrój Melissy ulotnił się bez śladu. Chciała uciec stąd jak najszybciej. - Wiesz, Jerry, jestem już zmęczona. Chciałabym wrócić do hotelu. Czy mógłbyś mnie odwieźć?

- Oczywiście - odparł Jerry bez namysłu. Zawsze był takim i taktownym. Gdy wychodzili z baru, zdawała się jej, że czuje na plecach wzrok Boba, ale pewnie było to tylko złudzenie.

Noc była dla Melissy istnym koszmarem. Ci głębiej budziła się, z trudem zasypiała, by za chwilę obudzić się znowu. Wskazówki zegara za nic nie chciały przyspieszyć swego okręgowego ruchu. Wreszcie nadszedł rano. Melissa zadzwoniła do przyjaciółki w Nowym Jorku. - Katie, dzwonię z Paryża. Lecę stąd do Nowego Jorku. Mogłabym zatrzymać się u ciebie na kilka dni?

- Jasne, e tak! Którym samolotem przylatujesz? Wyjad po ciebie.

- Przylatuj we wtorek wieczorem, o dwudziestej pierwszej. Lot numer sto sze dziesi t.

- Okay, b d na lotnisku.

Melissa od y s chawk i u miechn a si z rozczuleniem. Dobrze by mie tak przyjaciół jak Katie O'Neill. Wiedzia y wszystko o sobie, zna y swoje najskrytsze tajemnice. Lubi y si ogromnie i cz sto odwiedza y.

W samolocie do Nowego Jorku Melissa przejrza a pras . Ju pierwsza gazeta, któr wzi a do r ki, zepsu a jej humor, gdy na tytu owej stronie zobaczy a zdj cie Boba z Jamie Ferguson. W drugiej gazecie powtórzy a si to samo, w trzeciej równie . Od y a gazety i opar a si wygodnie. Zamkn a oczy.

Oczywi cie nie mia a adnego prawa do Boba Whitneya. Ich wspólny bilans by niewielki - kilka szcz liwych godzin na ciep m piasku i jedna wspólna noc. Dla tak atrakcyjnego m czyzny, jakim by Bob, takie przelotne przygody by y pewnie chlebem powszednim. Chocia ... Melissa przez chwil uwierzy a, e jest dla niego czym wi cej ni tylko przygod .

Odp dzi a od siebie te my li. Musia a wreszcie spojrze prawdzie w oczy. A prawda by a taka, e Bob kupi a jej plecami przedsi biorstwo nale ce do jej rodziny. Ale tym razem nie uda a si Melissie wykrzesa z siebie takiej z ci, z jak wpad a do gabinetu Boba. Chcia a teraz za wszelk cen unikn spotkania z Bobem. Wiedzia a, e a twiej jej b dzie go zapomnie , gdy nie b dzie go widywa .

Zasn a chyba, bo nagle us ysza a g os kapitana zapowiadaj cy rych lowanie na nowojorskim lotnisku.

Katie czeka a na ni , tak jak si umówi y. Po drodze na Manhattan opowiedzia y sobie wszystkie nowinki.

Katie i Melissa zaprzyjaźniły się jeszcze w szkole. Katie była wówczas pyskatą, zuchwałą dziewczyną, co Melissa fascynowała i przerażała jednocześnie. Według Katie szkoła była tylko stratą czasu, i gdy ukończyła siedemnaście lat, przerwała na dobre swoją edukację.

Znalazła pracę w zakładzie odzieży, gdzie okazała się, że jest bardziej utalentowana w projektowaniu różnorodnych cięgien garderoby. Po niedługim czasie odzież jej autorstwa wisiała w każdym lepszym sklepie.

Pracodawca Katie osiągnął ogromne zyski dzięki niej. Za wdanie się w przedsięwzięcie, a gdy zwlekała z decyzją, usamodzielniała się błyskawicznie i zaczęła odnosić sukcesy w Nowym Jorku.

- Mam nadzieję, że wzięła ze sobą choćby jedną przyswoitkę sukienki - odezwała się Katie. - Jutrzejszy wieczór spędzimy w bardzo eleganckiej restauracji. Byłam tam niedawno, mówi ci, fantastyczna knajpa.

Aksamitna sukienka jednak się przydała, pomyślała Melissa z zadowoleniem.

Katie była umówiona z Garym Petersem, wujkiem ciciem przedsięwzięcia komputerowego. Przyproceedził swego współnika, był więc ich czworo. David Enfield był nieco starszy od Gary'ego i spokojny z natury. Od razu przypadł Melissie do gustu.

Prowadzili interesującą, owocną rozmowę. Obsługa kelnerskiej nie mogła być nic zarzucić, potrawy za smakowały po prostu wspaniale. Byli już przy kawie, gdy jeden z gości lokalu zatrzymał się nagle w drodze do wyjścia i powoli podszedł do ich stolika. Położył rękę na ramieniu Melissy i powiedział - Czy to ty, czy nie ty? A jeśli ty, to co robisz w Nowym Jorku?

Melissa odwróciła głowę i rozpoznała w nim czy nie Billa Morrisa. Uśmiechnął się z radością. - Mój przyjaciel i

nauczyciel - przedstawił go pozostałym. - Ten człowiek ponosi odpowiedzialność za to, co się stało z moim życiem.

- No, no, młoda damo, nie przypisuj mi swoich sukcesów. Zawdzięczasz je tylko sobie. - Bill roze miał się wesoło i usiadł z nimi przy stole.

Bill Morris zaczął swoją karierę w wieku piętnastu lat jako goniec. Przeszedł wszystkie szczeble kariery i wspiął się na szczyt. Wiele osób zazdrościło mu jego pozycji. Pracował dla "World News". Wybierał sobie tylko te tematy, które mu odpowiadały. Zjeździł chyba całą kulię. Posiadał biegłą wiedzę z dziedziny polityki i ekonomii. Znał wielu młodych ludzi i cieszył się ich zaufaniem. Posiadał jakiś niezwykły talent w swojej pracy.

Bill był przyjacielem ojca Melissy. Znał go od dzieciństwa. Gdy zdecydował się na zawód dziennikarki, pomógł jej nauczyć się podstawowych praw i obowiązków tym zawodem. Bardzo dużo o nim zawdzięczała.

- Melisso, nie odpowiedział jeszcze na pytanie, które ci zadałem - przypomniawszy - Co tu porabiasz? I dlaczego nie zadzwonił do mnie?

- Przyleciałem dopiero wczoraj wieczorem, a dzisiaj miałem już wywiad z Madeliną Fargo.

- A skąd się tu wziął?

- Z Paryża. - Melissa odetchnęła głęboko i postanowiła opowiedzieć Billowi o wszystkim. - Okay, zaraz się dowiesz wszystkiego. Przepraszam, ale babcie dzieci musieli wysłuchać jeszcze raz tej historii - zwróciła się do pozostałych. - A więc dostałem wspaniałe zlecenie na serię reportaży o Australijkach mieszkających za granicą. We Francji przeprowadziłem na przykład kilkudniowy wywiad z jakimś Tolly LeCour.

Wyraz twarzy Billa zmienił się nagle. - Kiedy tam był? - spytał.

- Przedwczoraj stamtąd wyjechałem. Dlaczego pytasz? Bill zawahał się.

- Bill, czy co si sta? - Melissa przestraszy si nagle. Spojrza najpierw na Meliss , pó niej na reszt towarzystwa.

- Znam to spojrzenie - powiedzia Katie do Gary'ego i Davida.

- Chce jej o czym powiedzie w tajemnicy, a my mu w tym przeszkadzamy. - Gestem dóni powstrzyma Billa, który chcia zaprotestowa . - Ju dobrze. I tak mieli my ju do . Gary i David odwioz mnie do domu, Meliss zostawiam panu.

Ca trójka wsta i po egna si z Meliss i Billem.

- Bill, czy co si sta? - spyta Melissa po ich wyj ciu.

- Powiem ci w zaufaniu, Melisso. Ale nie mo esz nikomu tego powtórzy , rozumiesz?!

- Powiedz wreszcie, co si sta.

- Ich córka...

- Francine?

- Tak, ale, Melisso, bęgam, zachowaj to dla siebie, otó Francine zosta przedwczoraj uprowadzona. Czy widzia j w domu?

- Tak, odjecha do Pary a razem z Bobem Whitneyem.

- Zgadza si . Zawióz j do Pary a, wysadzi przed jej domem i tu lad si urywa.

- Czy policja nie wie nic bli szego? Musz natychmiast zadzwoni do Tolly. - Melissa chcia wsta , ale Bill posadzi j z powrotem na krze le.

- Poczekaj. Chc to utrzyma w tajemnicy. Bez wtajemniczania policji i prasy. Ci, którzy wiedz o wszystkim, poproszeni zostali o dochowanie tajemnicy. Wszystkie informacje mamy przekazywa do paryskiego biura Paula. - Spojrza na zegarek. - Czekam na telefon od pewnej osoby. Mia w nie wraca do domu, gdy zobaczy ciebie. Mo e zechcesz pój ze mn ? Mo esz ode mnie zadzwoni do Tolly.

Melissa natychmiast przystała na tę propozycję. Wyszli razem z restauracji. Dotarli na czas, bo telefon zadzwonił, gdy Bill otwierał drzwi do swojego mieszkania. Bill rozmawiał krótko w jej języku, którego Melissa nie znała, nie mogła więc zrozumieć treści rozmowy.

- Uprowadzili ci terroryści.

- Jakiego daj okupu? - Melissa nie wiedziała, że Tolly i Paul zapłacą kaucyjnie, niezależnie od jej wielkości.

- Nie chcę pieniędzy. Daj broń.

Melissa patrzyła na Billa tak, jakby nie rozumiała jego słowa.

- Daj broń - powtórzył z naciskiem. - Karabinów i materiałów wybuchowych. Tak cenę musisz zapłacić LeCourowie za uwolnienie Francine.

- O, Boże! Wiadomo, kto się za tym kryje?

- Nikt się jeszcze nie ujawnił, ale sądzę, że niedługo dowiemy się wszystkiego.

Bill podsunął Melissie telefon. - Zadzwoń do Tolly, ale rozmawiaj z nim krótko. Nie chcę, żeby telefon był zbyt długo zajęty.

Tolly była wyraźnie przerażona tym, że Melissa wie o porwaniu Francine. - Nie wolno nic o tym pisać! Zabij Francine, gdy jakkolwiek wzmianka ukaże się w gazetach. Tak powiedzieli.

- Tolly, proszę... Tolly. Daj pani swoje honorarium, a ode mnie nic nie przeniknie do prasy. Proszę mi wierzyć!

Melissa mówiła serio. Była bardzo zmartwiona całą tą sytuacją i przede wszystkim chciała pomóc Tolly. Nie miała zamiaru robić czegoś, co mogłoby zagrozić życiu Francine.

Ale Melissa była też dziennikarką i zdawała sobie sprawę, że uprowadzenie Francine jest bombowym materiałem na wystrzałowy reportaż.

W końcu udało jej się przekonać Tolly, że może jej zaufać. Obiecała, że zachowa wszystko dla siebie. - Wracam do Francji, Tolly. Muszę przeprowadzić wywiad z madame LaBatiste. Zadzwoń do pani później. Myłami jestem z wami.

Bob Whitney krzyknął nerwowo po paryskim biurze „O'Sullivan Group”. Co chwila spoglądał na telefon i na zegarek.

Pierre Argent, siedząc przy swoim biurku nad wydrukami z komputera, spoglądał na niego ukradkiem, zastanawiając się, o co tu może chodzi.

Pierre pracował w Paryżu, ale doskonale znał Boba i sposób jego pracy. Ale ta sytuacja stanowiła dla niego zagadkę.

Bob pojawił się zupełnie nieoczekiwanie po południu w biurze. Pierre i jego pracownicy zebrali się właśnie na naradę, gdy wpadł ryknął - Wyjdźcie stąd natychmiast! Jego wzrok padł na Pierre'a, który pracował przy komputerze. - Jeśli to konieczne, zostań, dopóki nie skończysz pracy. Ale masz być grzeczny i lepy, jasne?!

Pierre kiwnął głową i wrócił do pracy. Starał się nie podsłuchiwać, ale trudno było nie słyszeć tych dziwnych rozmów, które Bob prowadził przez telefon.

- Czy jest coś nowego? - Bob odetchnął z ulgą. - Dzięki Bogu, możemy ich w końcu wykluczyć. Obawiam się tylko, że są to jacyś nowicjusze, których nikt nie zna. - Bob siedział w milczeniu. - Powiedz coś - spytał, dodając po usłyszeniu odpowiedzi. - W takich sprawach ona ma najwięcej racji. Sprawdź to. Weź samochód z telefonem, aby cały czas mieć kontakt z wami. Co? Nie, tylko my, tak jest lepiej.

Pierre składał właśnie ostatni wydruk, gdy telefon zadzwonił ponownie. Bob rzucił się do aparatu. - Tak - zgłosił

si niecierpliwie i twarz mu pociemniała, gdy wysłuchał wiadomo ci z drugiej strony ściechawki.

Pierre znał ten wyraz twarzy Boba. "Nadciąga burza" - tak określali między sobą stan, w jakim znajdowali się Bob. Pierre zebrał swoje papiery i wymknął się cichutko na zewnątrz.

- Czy jest pan pewien? No, to przynajmniej w przybliżeniu wiemy, gdzie ich szuka. Nie, proszę nic nie robi! Pod żadnym pozorem! Bob ryczał w ściechawkę tak, że Pierre słyszał go jeszcze na korytarzu.

Rozdział 1

Melissa wróciła pierwszym rannym samolotem do Francji. Zaraz z lotniska zadzwoniła do Tolly. - Wiecie co nowego?

- Damy im to, czego chcemy - odpowiedziała Tolly bezbarwnym głosem. Przeczytała jej dług list danej przez porywaczy broni. Wiąkszo okrele nic Melissie nie mówiła, ale było tego całmnóstwo.

- To jest cena za Francine, Melisso. Zapłacimy j .

- Tolly, czy chciaaby pani, ebym przyjechała na wie ? Mog prze y wywiad z madame LaBatiste. Mo e si pani do czego przydam?

- Naprawd chciaaby pani przyjecha tu? Dobrze byłoby z kim pogada ... Paul i ja... - głos odmówił Tolly posłusze stwa i rozszlochała si w śchawk .

Melissa wiedziała, jak bardzo LeCourowie prze ywaj porwanie córki. Nie było przecie absolutnie adnej gwarancji, e terrory ci puszcz j wolno, nawet po otrzymaniu okupu. Mogła znajdowa si teraz w jakich strasznych warunkach, gładna, pobita, wycie czona...

Melissa wypo yczyła samochód i ruszyła czym pr dzej na wie . Do rezydencji LeCourów dotarła szybciej ni si spodziewała.

Tolly wybiegła jej naprzeciw. Postarzała si przez tych kilka dni, a po jej dawnej energii nie było nawet ladu. Paul wychudłbardzo, byłby i miał podkr one oczy. Całmi dniami snuła si po domu jak cie .

Melissa nie pytała o nic. Wolała, eby Tolly sama zaczęła. - Zanim porywacze nie zadzwonili do nas, w ogóle nie mieli my pojęcia, e co si stało. Pami ta pani ten telefon do Paula, kiedy pani odje d a do Pary a? Wie pani, e Francine wróciła do Pary a z Bobem. Wysadziła j przed domem i pojechała dalej. Musieli j zapa z chodnika, bo dozorczyjni nie

zauważyła, żeby Francine wchodziła do domu. Och, Melisso, to jaki koszmar - westchnęła Tolly.

- Czuj, że odzyska pani córkę - pocieszyła ją Melissa. - Dacie im przecież to, czego zażądali.

Tolly skinęła głową. - Paul dopilnował, żeby Edunek dostarczono do Calais, tak jak chcieli. - Tolly otarła oczy. - Melisso, to jest duży Edunek. Kiedy pomyślisz, do czego ta broń zostanie użyta... - zawahała się przez chwilę, zanim zaczęła mówić dalej. - Nie możemy jednak postąpić inaczej...

Melissa wyobraziła sobie, co ona by zrobiła, gdyby znalazła się w takiej sytuacji. Potem przypomniała sobie zdjęcie Jake'a z obszarów objętych wojną. Nie mogła odpowiedzieć Tolly tak, jakby chciała.

- Kiedy porywacze zawiadomi o zwolnieniu Francine? - zmieniła temat.

Tolly spojrzała na nią z rozpaczą. - Nie wiemy. Nic nie wiemy. A moja matka i Francine jest w ich rękach...

Najgorsze byłoby to czekanie i ta niepewność, pomyślała Melissa przy kolacji. Wszyscy byli: Tolly, Paul, Etienne i Michael, ale nikt nie miał apetytu. Próbowali coś przełknąć, ale wyraźnie im to nie szło. Siedzieli w milczeniu przy stole nie podnosząc wzroku znad talerzy.

Po kolacji wszyscy przeniesli się do salonu. Usłyszeli warkot samochodu na podjeździe. Paul powiedział z ulgą. - To Bob.

Wstała i wyszedł mu naprzeciw. Tolly podziękowała za nią. Melissa zastanawiała się przez chwilę nad możliwością ucieczki z salonu, ale w końcu zrezygnowała z tego zamiaru. Została tylko przy sobie, nie wzięła pod uwagę jego pobytu w Paryżu i tego, że przecież byłą przyjaciółką z LeCourami i miała prawo ich odwiedzić.

Bob wszedł do salonu i zatrzymał się nagle na widok Melissy. - Mieliście przecie nie wczekać prasy, tak się umawialiśmy - powiedział do Paula nie ukrywajcie irytacji.

- Melissa przyjechała do nas jako przyjaciółka, nie jako dziennikarka - pospieszył Tolly z wyjaśnieniem.

Bob zmarszczył czoło z niedowierzaniem. Nic już jednak nie powiedział o obecności Melissy u LeCourów. Znowu zwrócił się do rodziców Francine. - Możemy wam cię ograniczyć do tych trzech grup. Sprawcy muszą być członkami jednej z nich. Każda operacja będzie bardzo przemyślnie zaplanowana. Moi ludzie trzymajcie rękę na pulsie.

Bob wyjął z walizki magnetofon i podłączył go do telefonu. W międzyczasie Paul przedstawił Melissie mężczyznę, który przyjechał razem z Bobem. - To Martin Valera, nasz stary przyjaciel. Miało być do czynienia z przypadkami porwań i jest bardzo do wiadczony w tym zakresie. Mamy nadzieję, że nam pomoże.

Wieczór ciągnął się w nieskończoność. Gdy duży zegar w salonie wybił jedenastą, Paul zaproponował, aby się położyć spać. - Prawdopodobnie dziś już nie będzie dzwonił.

Paul, Tolly i ich synowie wyszli z salonu. Melissa została jeszcze z Bobem i doktorem Valerem.

- Naprawdę przyjechała tu z poczucia przyjaźni, a nie z zawodowego obowiązku? - spytał Bob.

- O porwaniu dowiedzieliśmy się w Nowym Jorku. Już wtedy mogłbym napisać o tym wydarzeniu.

- Ale reportaż wypadnie lepiej, gdy będziesz w centrum wydarzeń, prawda? - sarkazm w głosie Boba zdenerwował Melissę.

Chciała już coś z siebie odpowiedzieć, ale ugryzła się w język. Bob miał rację, oboje o tym wiedzieli. Oczywiście, że nie będzie publikowała niczego, co mogłoby narazić Francine. Ale czy byłoby coś z tego w tym, gdyby już po

wszystkim opisała to w reportażu dla jakiego poczytnego magazynu? Naturalnie wczemu nie zapytała LeCourów o zgodę. A tak w ogóle Bob nie powinien się do niej odzywać w ten sposób.

W salonie zapadła przykra cisza. Doktor Valera patrzył z zdziwieniem raz na jedno, raz na drugie, czując wyraźnie jego obecność. Jest tu niepotrzebna.

Nagle zadzwonił telefon. Wszyscy drgnęli. Bob pierwszy podskoczył do telefonu. Słuchał uważnie kogoś po drugiej stronie słuchawki, a potem powiedział: - Nie, nie wolno wam nic robić! - i odłożył słuchawkę.

- Wiemy, kto ją wprowadził. Ale nie mam dobrych wiadomości... - Bob usiadł z powrotem w fotelu. - Mówię ci, że w grupę wchodzi trzy grupy. Z dwiema z nich dawno byśmy już sobie poradzili. To idealnie ci walczyć o swoją sprawę. Ale trzecia grupa, ta, która porwała Francine - westchnął zrezygnowany - och, wygląda na to, że jedynym ich siłą napędową jest ich skłonność do pieniędzy. Dowiedzieliśmy się z naszych źródeł, że ich celem jest Ameryka Południowa. Tam sprzedają broń z okupu temu, kto da więcej.

Bob podparł głowę rękami. Jego oczy miały wyraz takiego udręczenia, że Melissa najchętniej wzięła go w ramiona, przytuliła do siebie i pogłaskała po głowie, jak małe dziecko. Przestraszona tym wszystkim, zacisnęła mocno palce. Bob mówił dalej: - Największym problemem dla nas jest fakt, że to jacyś obłąkani amatorzy. Nie możemy przewidzieć ich zachowania. Profesjonaliści mają jednak jakieś reguły.

Martin Valera tak też wyglądał na zaniepokojonego. - Bob ma rację. Z amatorami nigdy nic nie wiadomo. Są po prostu nieobliczalni. Nawet gdy zostaną spełnione wszystkie warunki, nie możemy mieć pewności, że dotrzymają obietnicy.

Melissie zrobił się słabo. - Chce pan przez to powiedzieć, że Tolly i Paul zastosują się do wszystkich wymagań

porywaczy, a oni mimo to skrzywdz Francine?! - Słowo "szabij" nie mogło przejść jej przez usta.

Martin wzruszył ramionami. - Mo e tak, mo e nie. By mo e Francine trzymana jest w przyzwoitych warunkach i wypuszcz ją, gdy tylko dostan okup.

Nie mogli już nic więcej zrobić tego wieczoru. Poszli za przykładem LeCourów i cała trójka rozeszła się do swoich pokoi.

Melissa wzięła prysznic, założyła nocną koszulę, ale nie chciała jej się jeszcze spać. Podeszła do okna i wyjrzała na ogród rozciągnięty wokół domu. Zauważyła jak ciemna postać siedzi na murku między domem i chodnikiem. Odsunęła firankę na bok i jej podejrzenia potwierdził się. To był Bob.

Ogarnął ją przemożne pragnienie, żeby podejść do niego, przytulić się, poczuć jego silne ciało przy swoim. Chciała z nim porozmawiać o wszystkich swoich rozterkach, zwierzyć się ze wszystkich w tajemnicę, podzielić się najtajniejszymi myślami. Chciała poczuć jego wargi na swoich ustach, jego dotknięcie na swoim ciele...

Melissa zarzuciła szlafrok i zbiegła po schodach. Była już na dole, gdy nagle przypomniała sobie wyraz twarzy Boba, gdy ją ponownie zobaczył LeCourów. Pamiętała ton, jakim wypowiadał się przeciwko jej obecności u rodziców Francine.

Nie, nie pójdzie do Boba. Nie mogłaby znieść jego szyderczego wzroku, jego odpychającej postawy, a może nawet... jego gniewu.

Melissa wróciła powoli na górę. Rozebrała się, weszła do łazienki i zgasiła światło.

Bob zauważył z dołu, że światło w sypialni Melissy zgasło. Westchnął cicho i wszedł do domu. Miała nadzieję, że... Odsunął od siebie tę natrętą myśl, która kazała mu wyjść na

taras. Wiedział, że będzie mógł stać i obserwować okno pokoju Melissy.

Nie wybaczył mu i nigdy pewnie tego nie uczyni. Kiedy rozmawiali w salonie o porwaniu Francine, spojrzenia ich czasem krzyżowały się. Serce Boba biło wtedy szybciej.

Zaciśnięte wargi. Bo nie, jakim ja byłbym głupcem, pomyślał / uduł się, że Melissa została w salonie, żeby może porozmawiać ze mną. Myślał, że nie poszła spać, bo chciałaby spędzić w moim towarzystwie.

Ale ona wcale nie zmieniła swej opinii o mnie. Interesowała ją tylko uprowadzenie Francine.

Bob zasnął do pewnego pięknego słonecznego popołudnia na Killicrankie Bay. Gdyby mógł cofnąć wskazówki zegara! Chciałby teraz leżeć na ciepłym piasku z Melissą u boku. Gdyby mógł jeszcze raz zacząć tę przygodę ...

Rozdział 2

Telefon odezwał się następnego ranka.

Paul podniósł słuchawkę, zagryzł wargi i zbladł.

Przestawił go na aparat tak, aby rozmowa była szeptem w całym pokoju. Wszyscy uszli grob w gębie porywacza. Ostrzegł Paula, że zatrzymaj Francine tak długo, dopóki okręt nie opuści Calais i nie wypłynie na międzynarodowe wody, gdzie nie będzie go już można zatrzymać i zrewidować.

- ...Jej bezpieczeństwo zależy od pana...

Paul załamał rozmowę z córką, jednak porywacz powiedział, że to niemożliwe. - Nie ma jej w tym miejscu, z którego dzwoni. Ale dostanie pan coś pocztą.

To coś "nadeszło" w ciągu dnia. Była to kasetka wideo z wiadomością od Francine. - Czuj się dobrze, mam dobrą opiekę. Jeśli zrobicie wszystko, co każe, zwolnię mnie i będę mógł wrócić do domu. - Francine zajął się i wargi jej zadrżały przy ostatnim słowie.

- I to wszystko? - spytał Tolly z niedowierzaniem. - Naprawdę nic już nie ma na kasecie?

- Przynajmniej wiemy, że żyje. Nie wygląda na to, że jest traktowany - powiedział Paul, po czym zajął się pakowaniem broni wymienionej przez terrorystów. Tolly denerwował się coraz bardziej.

- Zostaw ich, Paul. Ci ludzie wykonywali znacznie bardziej skomplikowane zadania. Nie stój tak cięgle nad nimi, bo zaczną się czegoś domyślać.

Tolly miał oczywiście rację. Sprawę zapakowania i transportu broni Paul mógł spokojnie zostawić swoim ludziom.

Następnego dnia Paul wstał bardzo wcześnie. Przeprowadził kilka rozmów telefonicznych. Skrzynie z bronią zostały dostarczone do doków. Późniejszy telefon

potwierdził, że statek wyszedł w morze z załadunkiem określonym jako części maszyn. Paul był również pewien, że portem przeznaczenia nie był wcale Johannesburg w Południowej Afryce, jak to podano oficjalnie, tylko zupełnie inny port.

Z minuty na minut, jego niepokój rósł. Chodził o to, jak to próbując obliczyć, ile czasu zajmie statkowi wypłynięcie na międzynarodowe wody, gdzie nikt go już nie będzie mógł zatrzymać.

Przysiadł sobie w końcu do Melissy, która nerwowo zaciskała kciuki, krzycząc sobie podniekającym salonie.

- Nie jestem już młody, Melisso - zaczął Paul. - Moje pierwsze małżeństwo było bezdzietne. Moja pierwsza żona nie chciała mieć dzieci. Kiedy mnie opuściła, poznałem Tolly. Miała wtedy zaledwie dziewięć lat. Dopiero skończyła szkołę. Jej przybrani rodzice chcieli wywieźć ją do Afryki. Chwilowo zatrzymali się w stacji misyjnej w Paryżu. Poznałem Tolly na ulicy. Wymyślał akurat jakiemuś facetowi, który właśnie obchodził się ze swoim psem. Zakochałem się w niej natychmiast. Stałem się po jej stronie w tej ulicznej sprzeczce, dzięki czemu łatwiej było mi uzyskać jej przychylenie. Wyobraź sobie, że wygraliśmy. Ten facet związał gdzieś pieprzone, zostawiając nam swego psa. Powiedział na odchodnym, że skoro jesteście myślnymi zwierzętami, to możemy sobie wziąć jego psa. Misja nie zezwalała na trzymanie zwierząt, więc się rzecz piesek trafił do mnie. Tolly przychodził go odwiedzać. Byłem jeszcze wtedy związany z moją pierwszą żoną, ale już wiedziałem, że oeni się z Tolly. Jej przybrani rodzice byli oczywiście przeciw i robili wszystko, aby udaremnić nasze plany.

- Czy mieli coś przeciwko temu, że handlujesz bronią?

- Nie, nie, nie o to im chodziło. Poczłkowo chyba nawet o tym nie wiedzieli. Byłem po prostu znacznie starszy od

Tolly. Mogłoby być jej ojcem. Ta różnica wieku nastawiła ich bardzo niechętnie do naszego projektu odnośnie wspólnej przyszłości.

- Ale przecież pobraliście się - zauważyła Melissa.

- Tak i nie było to wcale takie trudne. Misjonarze nie adoptowali Tolly i nie mieli mocy prawnej nad nią. Jako niepełnoletnia sierota potrzebowała tylko zgody sędziego pokoju, aby móc wyjść za niego. Znałem kilku sędziów, załatwienie podpisu nie było żadnym problemem. Pobraliśmy się więc, a w przyszłym miesiącu będziemy obchodzić dwudziestą piątą rocznicę naszego związku.

Paul zapatrzył się w okno. - Gdyby ci dranie zabrali jednego z chłopców, byłoby tak samo przygnębiające, ale kiedy pomyślisz, co mogą zrobić Francine... - Twarz mu zszarzała, oczy pociemniały z trwogi o córkę.

- Paul, ci ludzie nie będą działać pochopnie. Wiesz, że jest pan bogaty i potężny i że dopadnie ich pan wszędzie, gdyby zrobili jak krzywdę Francine. Przekonana jestem, że dotrzymaj warunków umowy. Francine będzie w domu za dziećmi, najwyżej dwoma.

Melissa robiła co mogła, aby pocieszyć Paula. Chyba jej się to udało w jakimś stopniu. - Ma pani rację, Melisso. Gdyby zrobili coś mojej córce, znalazłbym ich wszędzie i wytłukłbym ich jak muchy. Melissa martwiła się także o Tolly. Jej rodaczka snuła się po domu jak cień. Melissa wyciągnęła ją do ogrodu. Ponieważ obie nie lubiły beczynno ci, zajęły się wrywaniem chwastów z klombów.

- Gdyby my nie mieli broni, nikt nie porwałby naszej córki - Tolly westchnęła z rozpacz.

- Niech pani tak nie mówi, Tolly - szepnęła Melissa ze współczuciem.

- Czego mam nie mówić? Czy nie powinnam wreszcie powiedzieć prawdę. Czy nie powinnam wreszcie pomyśleć o

matkach, które straciły córki przez broń dostarczoną przez nas? Czy nie powinnam powiedzieć głośno, że z naszej broni strzela się nie tylko do uzbrojonych mężczyzn, ale także do niewinnych ludzi? Czy nie powinnam się zastanowić, do czego zostanie użyta materia wybuchowa przeniesiona teraz na statek z Calais. I kto będzie musiał umrzeć na skutek jego wybuchu?

Melissa nie wiedziała, jak uspokoi Tolly. Czując, że niegodne słowa w niczym jej nie pomogą. Powiedziała więc energicznie: - Słodzi pani, że ukarano was za zawód pani męża? Naprawdę? To proszę mi wobec tego odpowiedzieć na następujące pytanie: - Dlaczego ludzie w ogóle wynaleźli broń? Dlaczego uwalili jej przez całą tę ciocię? Dlaczego akurat handlarze broni mieliby ponosić odpowiedzialność za śmierć i zniszczenia?

Melissa nie była pewna, czy to, co mówiła, miało jakikolwiek sens, ale czując, że jest to Tolly potrzebne.

Twarz Tolly zmieniła się. Spojrzała na Melissę z zastanowieniem. Wreszcie jakaś ywsza mimika na tej sparaliżowanej twarzy, pomiędzy nią a Melissą z jakąś satysfakcją.

Podeszła do nich Georgette, żeby omówić jadłospis kolacyjny.

Nie podejmowała już tej rozmowy. Popracowała jeszcze trochę w ogrodzie i poszła do domu, żeby umyć ręce.

Bob krzyknął nerwowo po salonie. - Boże, czemu jeszcze nie dzwoni? Gdzie jest Francine? Moi ludzie są w stanie gotowo ci. Może ją odebrał zewsząd.

Melissa pomiędzy nią z podziwem, że Bob wszystko rzucił dla przyjaciół w potrzebie. Bez niego sytuacja LeCourów byłaby znacznie gorsza. Dla niego pracował sztab ludzi, jakim nie dysponowali Paul i Tolly.

Po odjeździe Martina Valery do Paryża, Bob i Melissa przemieśli się do gabinetu Paula.

- Czy nie można było tych terrorystów zatrzymać gdzieś po drodze? - spytała Melissa. - Transportujcie ich z Francji do innego kraju. Wiem, że nie mogliśmy temu zapobiec ze względu na bezpieczeństwo Francine. Ale ludzie, którzy ładowali ich na statek, musieli przecież wiedzieć, że to nie jest zwykła sprawa. Czemu do tego dopuścili się?

- Z chęcią ci - brzmiała odpowiedź Boba. - Za pieniądze można załatwić wszystko, co się chce. Za pieniądze sfałszować kogoś listy frachtowe. Za pieniądze opisano załadunek tak, że spedytor nie robi trudno ci. Za pieniądze znaleziono kapitana, który poda fałszywy port przeznaczenia. Nanieś fałszywe dane do dziennika okrętowego i zrobi wszystko, czego od niego zażądają. Za pieniądze, oczywiście. Znajdź te oficerów, którzy mu pomogą w tym brudnym przedsięwzięciu. Za pieniądze. - Bob zagryzł wargi. - Nie powinno być prawa przysługującego dla ludzi tego pokroju. Wszystkie państwa powinny ujednoczyć swą politykę w tym zakresie.

Melissa przypomniała sobie wcześniejsze słowa Boba. Jeszcze w Australii mówił, że za pieniądze można dostać wszystko. Wtedy odebrała jego słowa jako protekcjonalne i aroganckie, teraz zaś czuła w głosie Boba pogard i niechęć. Czy by się zmienił? Czy by zrozumiał, że pieniądze mogą spowodować tak wiele złego?

Tolly znalazł swego męża w białym salonie. Stał przy biurku na schowku telefonu, aby móc ją podnieść po pierwszym sygnale. W godzinę później zastał go w tej samej pozycji. Nie ruszył się ani o krok. - Porywacze obiecali, że zadzwoni do nas z informacją o miejscu pobytu Francine, gdy tylko wypłyną na międzynarodowe terytorium morskie - szepnął Tolly do Boba i Melissy. - Bardzo martwi się o

Paula. Wyliczy sobie, gdzie powinien już być ten statek, a porywacze nie odzywają się. Boj się o jego zdrowie...

Paul nie ruszy się od telefonu przez następne godziny. Wszyscy próbowali namówić go, żeby się położył na trochę i odpoczął, ale on nie chciał odejść od telefonu.

Melissa wyjrzała przypadkowo przez okno gabinetu. Stała przez chwilę jak sparaliżowana, a potem krzyknęła na cały dom: - Tolly, Paul, Bob!

W głosie jej brzmiała ogromna radość, pomieszana z olbrzymią ulgą, przez okno zobaczyła bowiem Francine, biegnącą w kierunku domu.

Rozdział 13

W domu LeCourów zapanowało obłędne zamieszanie. Chłopcy zbiegli po schodach wrzeszcząc i gwiżdżąc przerażenie, aby ucisnąć siostry.

Saba była najpierw zaskoczona tym tumultem, potem zaś, gdy dowiedzieli się o wszystkim, wpadli w panikę, póki nie wzięli rady z powodu szczerego i wesołego zachowania całej historii. Tolly dał wszystkim wolność.

Bob zadzwonił gdzieś, mówił tylko. - Wróć. Odwołaj wszystko. Melissa przywitała się serdecznie z Francine, póki nie chcieli się z Bobem wycofać do swoich pokoi, aby nie przeszkadzać rodzinie w tej radosnej chwili. Tolly zatrzymał ich jednak. - Zostaćcie. Dręczyliście mnie o jej życie tak samo, jak my. Cieszcijcie się teraz razem z nami.

Zaproszona Tolly nie chciała wypuścić córki z objęcia, tak jakby się bała, że znów może przydarzyć się jej coś złego.

Francine opisała przebieg porwania. - Sama nie mogłam zrozumieć, czemu wsiadłam do tego samochodu. Ale byłam głupia!

Paul pogadził ją po głowie. - Nie rób sobie wyrzutów, córeczko. Każdy zrobiłby to samo na twoim miejscu. Wiedzieli, że poważył się nie traktujesz studia i wykorzystali to, kłamiąc, że próba została przeniesiona.

- W samochodzie ten chłopak mówił do mnie cały czas i dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że dawno powinniśmy już być przed szkołą. Myślałam, że kierowca zmylił drogę. W ogóle nie sądziłam, że to może być porwanie. Tak w biały dzień, w centrum Paryża?! Nie uwierzyłam nawet wtedy, gdy mi czyjś powiedział mi o tym. Myślałam, że takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. Tyłne szyby samochodu miały osłony przeciwsłoneczne, nie mogłam więc zorientować się, w jakim kierunku jedziemy. Poza tym

zawiało mi oczy. Po zmianie powietrza domyśliłam się, że jesteście poza miastem.

Francine nie miała pojęcia, gdzie się znalazła. Jazda trwała około godziny, ale nie miała to znaczenia dla określenia odległości, gdy niektóre odcinki drogi mogli przecie pokonywać dwukrotnie.

Gdy samochód zatrzymał się, zaprowadzono ją po schodach do jakiegoś pokoju, gdzie wreszcie zdjęto jej opaskę z oczu. Jaka kobieta pilnowała jej cały czas.

- W samochodzie byłoby trzech mężczyzn, ale w domu musieli być jeszcze więcej, bo słyszałam ich głosy.

Francine napiła się kawy. - Nie mogłam wychodzić z tego pokoju, ale nie traktowano mnie źle. Przynoszono mi jedzenie, miałam nawet gramofon z kilkoma płytami. Nie było radia, ani telewizora. Pewnie nie chcieli, abym słuchała wiadomości.

Tolly potrzebował dowodów. - Niczego by się nie dowiedziało z wiadomości. Jednym z warunków umowy było nieinformowanie policji i prasy.

Francine spojrzała pytająco na Melissę, a jej matka pospieszyła z wyjaśnieniem. - Melissa przyjechała do nas jako przyjaciółka, nie jako dziennikarka. - Popatrz na Melissę z bliskim. - Chociaż teraz nie ma już żadnych przeszkód, aby wszystko opisać.

Czy rzeczywiście byłoby już po wszystkim? Melissa przebiegła dreszczem. A może cała historia dopiero się zaczyna? Morzem płynął statek zatopiony po brzegi bronią i materiałami wybuchowymi. Dokąd on płynął? Ilu ludzi stracił życie z jego powodu?

Francine skończyła swoją relację. - Dzisiaj rano ta kobieta powiedziała mi, że jestem wolna. Dodała, że podrzuci mnie w pobliżu domu. Myślałam, że chodzi im o Paryż. Jechali my piętnaście minut i zaczęłam się już denerwować.

Nic nie wskazywało na to, że przyjechali my do miasta. Zatrzymali samochód, kazali wysiść i policzyć do dwustu zanim zdejmą opaskę z oczu. Usłyszałem, że samochód odjechał natychmiast cięgnąc opaskę. Poznałem okolicę. Wysadzili mnie na skrzyżowaniu dróg o kilometr stąd. Pobiegłem pędem do domu i jestem! - Francine była niezmiernie szczęśliwa, że znowu jest w domu.

Paul spojrzął na nią z namysłem. - Mówisz, że wie cię piętą minutę, dwadzieścia minut. Jesteś tego pewna?

- Tak - odparła zdecydowanym głosem.

- To znaczy, że trzymano cię niedaleko stąd - Paul spojrzął znacząco na Boba.

Ten pokiwał głową i zwrócił się do Francine. - Wiem, że du o przeszłość, ale chciałbym cię prosić, żeby jeszcze postarała się odpowiedzieć na kilka pytań. Opowiedz wszystko, każdy szczegół od momentu, kiedy wsiadła do samochodu. Opisz każdą z tych osób, które cię porwały, przypomnij sobie, jak wyglądał dom, w którym cię wzięto. Czy czujesz się na tyle dobrze, żeby o tym porozmawiać?

- Tak, chętnie wszystko opowiem.

Melissa zrozumiała zamiar Boba. To nie było czysto dziennikarskie zainteresowanie. Bob chciał jak najwięcej informacji, żeby trafić na ład statku i porywaczy. Terrorysty cię mylili sięśdziesiąt, że na międzynarodowych wodach będą bezpieczni, tego Melissa była pewna. Nawet, gdyby statek umknął po cięgowi, to przedsięwzięcie zostanie krokiem, żeby uniemożliwić jego rozładunek.

Zanim Bob przystąpił do zadawania pytań Francine, Melissa spytała szeptem Tolly, czy rzeczywiście cię nie będzie miało nic przeciwko opisaniu porwania jej córki.

- Myślę, że będącby pozostawienie całej sprawy w ukryciu. Pani reportaż może odegrać pożyteczną rolę - może

by przestroga dla młodych dziewczyn, aby nie ufały za bardzo obcym.

Melissa podziękowała Tolly i poszła do telefonu, aby zadzwonić do Billa Morrisa.

- Wiem, że statek wypłynął z Calais. Czy powiedzieli, gdzie jest Francine? - spytał Bill.

- Jest już w domu, całkiem zdrowa. Siedzi w domu nie koło mnie.

- Wszystko w porządku?

- Tak, czuję się dobrze i jest bardzo szczęśliwa, że jest znowu w domu. Bill, czy mógłby zaaranżować owa publikację mojego reportażu w jakiejś dużej gazecie?

- Za pięć minut możesz zacząć go dyktować - powiedział Bill natychmiast. - Oddzwoni za chwilę.

Melissa odłożyła słuchawkę, opowiedziała wszystkim przebieg rozmowy z Billem i pobiegła na górę po notatnik.

Podyktowała Billowi treść artykułu i wróciła do salonu. Słuchała rozmowy Billa z Francine pomiędzy sobą, że dobry byłby z niego reporter.

Reszta dnia upłynęła bardzo szybko. Melissa zdziwiła się, że w domu LeCourów nie pojawili się jeszcze żadni dziennikarze. Bob wyjechał, a kilka kilometrów od domu ustawiono bariery i posterunki policyjne i policjanci przepuszczają tylko lokalny ruch. - Ale już jutro nie będziemy mogli od nich odpędzić. - Dodał patrząc nieco złośliwie na Melissę.

Francine nie dawała się nakłonić do pójścia spać. - Ale, mamusiu, w ogóle nie jestem zmęczona. Chcę się jeszcze trochę wami nacieszyć.

- Ale jesteś już bardzo zmęczona, córeczko. Prawie nie zmuszaliśmy cię czekać na ciebie.

Paul przebiegł telefonem sekretarki spodziewając się słyszeć, że będzie dzwonił bez przerwy.

W końcu wszyscy rozeszli się do swoich pokoi, aby nabrać siły przed jutrzejszym dniem.

Podobnie, jak wczoraj. Melissa nie mogła zasnąć. Wyrzała przez okno i dostrzegła w cieniu drzewa znajome sylwetki.

Odetchnęła głęboko i nie zastanawiając się dłużej, wybiegła z sypialni.

Tym razem nie zatrzymała się na schodach w półdrogi, tylko otworzyła szklane drzwi prowadzące na taras.

Bob siedział w tym samym miejscu na murku i wydawał się pogroźony w swoich myślach.

Nie usłyszała kroków Melissy, ale gdy zawołała go cicho po imieniu, odwrócił się natychmiast i wstał.

Melissa zaczerpnęła powietrza i powiedziała wreszcie to, co chciała mu już dawno powiedzieć.

- Przepraszam cię, Bob.

Nie ruszyła się z miejsca. Stała plecami do latarni, nie mogła więc zobaczyć wyrazu jego twarzy. - Chciałam ocalić to wydawnictwo przez pamięć o ojcu. Ale to nie przywróci mi życia. Byłam zbyt uparta, aby przyznać się do błędów. Wiem, że nie był w tym twoją winą. Nie oszukaj mnie. Mój ojciec zrobiłby to samo na twoim miejscu.

- To wszystko, co ci chciałam powiedzieć, Bob - powiedziała, gdy nadal się nie odzywał. - Dobranoc, Bob - odwróciła się i odeszła.

Była bardzo zdenerwowana. Kolana uginały się pod nią. Mój Boże, czy by się o mieszy?! Bob milczał, ale przecież nie miał prawa oczekiwać, że rzuci się jej na szyję w geście wybaczenia!

Była już prawie przy drzwiach, gdy usłyszała głos Boba. - Jedną sprawą, która mnie teraz interesuje, to doprowadzi cię do należącego ci miejsca.

Melissa nie miała odwagi odwrócić się. - Co przez to rozumiesz? - spytała cicho.

- Wolałbym ci to pokazać niż opowiedzieć - Bob stał za nią. Czując jego oddech na karku.

Uniósł się do góry, odwrócił do siebie i pocałował ją całującami tam, jak dusił w sobie przez cały ten czas.

- Bob... och, Bob... - Melissa nie mogła złapać tchu.

- Dlaczego musiało zdarzyć się coś takiego, taka prawdziwa tragedia, żebyśmy mogli oddzielić rzeczy nieważne od naprawdę istotnych?

Bob przytulił ją mocniej do siebie, pochylił głowę i pocałował ją znowu.

- Okropnie zachowałem się w twoim biurze. Wstydzi się tego. Naprawdę. - Melissa potrafiła być w stosunku do siebie bardzo krytyczna.

- To prawda - potwierdził Bob z niezmiennym spokojem. Melissa dała mu soplek w bok. Rozejrzała się gwałtownie i zaraz potem spojrzała zaniepokojona w stronę domu.

Bob odgadywał jej myśli. - Nie przejmuj się. Mogłoby tu nocować dywizja ochroniarzy, a oni i tak by niczego nie usłyszeli.

Ujął ją pod brodę i zmusił ją, żeby na niego spojrzała. - Straciliśmy mnóstwo czasu. Musimy jak najszybciej wykorzystać ten czas, który jeszcze mamy przed sobą.

- A ile go jest?

- Jutro rano muszę wyjechać. Jest coś, co muszę pilnie załatwić, pewna nie cierpię z powodu tej sprawy. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale na pewno wrócę do ciebie. Obiecuję.

Melissa nie umiała ukryć rozczarowania. Bob miał dla niej tylko tę noc, jedną, jedyną noc. Powiedziała, że wróci. Może tak, może nie. Taki marnotrawca jak Bob Whitney nie byłby dysponentem swego czasu. Mówiła przecież, że sekretarka organizuje mu życie.

Ach, trudno, pomyśl, co będzie, to będzie. Zbyt dłużej czekać na tę noc, żeby się teraz martwić na zapas. Ty sknisz za jego zapachem, za dotykiem jego dłoni, za bliskością jego ciała, za jego pocałunkami.

Poszli ciasno objęci do sypialni Melissy. Rozebrali się w milczeniu. Bob pociągnął Melissę do siebie. Kochali się tak czule i namilknęli, że byłoby jeszcze piękniej niż poprzednio. Gdy razem osiągnęli szczyt rozkoszy, Melissa zdała sobie sprawę, że w jej życiu nie będzie już żadnego innego mężczyzny. Będzie w nim miejsce tylko dla niego - dla Boba.

Rozdział 4

Bob pocałował Melissę czule, zanim wszedł do samochodu. Tolly uniosła brwi ze zdziwienia, ale nie powiedziała nic.

Melissa była ogromnie szczęśliwa. Dramat LeCourów zakończyła się szczęśliwie, a jej pojednanie z Bobem wyglądało lepiej niż się spodziewała.

Cały ranek spędziła w ogrodzie. Zatelefonowała do madame LaBatiste i umówiła się z nią na wywiad w przyszłym tygodniu. Do tego czasu chciała zostać u LeCourów. Usiadła w fotelu ogrodowym z książką w dłoni. Nie czytała jednak. Rozmarzona wspominała ostatnią noc. Była cudownie.

- Masz mnie w rękach i dobrze o tym wiesz. - Te słowa wyszeptał Bob, gdy wyczerpani mieli się leżeć obok siebie w czułych objęciach.

Melissa nie wątpiła już w to, że ją kocha. Czuli się blisko w każdym jego spojrzeniu, w każdym jego geście, w każdym słowie.

Telefonowała do niej codziennie. Jak dobrze było słyszeć jego głos, jak cudowna była pewność, że następnego dnia zadzwoni znowu. Tylko... czemu nie powiedziała co to za pilne sprawy wezwęły go z powrotem do pracy? Czy by jej nie ufała?

Ile razy pytała go o to, odpowiadał niezmiennie: - Dobrze, ale mi przypomina, że nie jestem tu dla przyjemności. Do uszczerbienia, kochanie, mam mnóstwo pracy. - Po czym odkładał słuchawkę.

Melissa ciekawa była, jak wszystko przejdzie jej wysłuchiwać tych słów w przyszłości.

Weszła do domu. Akurat zadzwonił telefon, a ponieważ nikogo nie było w pobliżu, podniosła słuchawkę. To był Bill Morris.

- Witaj, Melisso - powiedzia€- mam tu jeszcze kilka linijek do uzupe€nienia twojego reporta u. Chc€ ci to przegra , zanim tekst uka e si€ w druku.

Nacisn€ guzik dyktafonu i Melissa zacz€ s€cha : Dzisiaj rano pasażerowie ma€go samolotu prywatnego zauważyli na po€dnie od Irlandii pot€n€ eksplozję . Frachtowiec "Windwood" p€n€cy pod bander€ panamsk€ z Calais do Johannseburga, zosta€ doszcz€tnie zniszczony w wyniku wybuchu. Przyczyna eksplozji nie jest jeszcze znana, mia€ ona jednak tak€ moc, e statek rozpad€si€ na dwie cz€ci i zatop€ si€ w ci€gu kilku sekund. Nie ocala€nikt z za€tgi. Wed€g oficjalnych danych frachtowiec przewozi€ cz€ci maszyn, ale rozmiar eksplozji i fakt, e statek nie p€n€ w kierunku portu przeznaczenia, pozwalaj€ przypuszcza , e chodzi€ o transport broni i materia€w wybuchowych, wy€dzonych od handlarza broni , Paula LeCoura w zamian za zwrócenie wolno ci€ jego córce Francine, porwanej przez terrorystów. Zak€da si€, e porywacze tak€ byli na statku.

Bill wy€czy€dyktafon. Melissa spyta€ z trudem: - Bill, czy to prawda?

- Tak - odpar€ Bill spokojnie. - Mo esz powiedzie€ Paulowi i Tolly, e ich bro€ nie zostanie u yta do mordowania niewinnych ludzi.

- Nikt nie prze y€

- Tak, ju€ mówi€m. Nie wiadomo, czy by€to wypadek, czy akt zemsty. Raczej nieprawdopodobne, eby za€dunek sam wylecia€ w powietrze.

Melissa zadr a€ nagle. Przysz€ jej do g€wy straszliwe podejrzenie. Czy Bob by€ zamieszany w t€ spraw€? Pami ta€ dobrze, jak mówi€ e dla terrorystów nie powinno by€ prawa €ski, ani nawet cienia lito ci.

Po egna€ si€ z Billem i od€ y€ s€chawk€ .

Dobrze się złożyło, że akurat nikogo nie było w domu. Trudno byłoby jej teraz rozmawiać z LeCourami.

Czy Bob mógłby wziąć udział w zamachu? Czy mógłby z zimną krwią zabić niewinnych członków załogi? Nikt przecie nie uszedł z życiem, a wiódca kara dotknęła nie tylko terrorystów. Zginęli niewinni marynarze.

Czy Melissa mogłaby dzielić życie z kimś, kto dopuścił się takiej strasznej zbrodni. Odpowiedź była tylko jedna: Nie!

Melissa poinformowała LeCourów o wszystkim, gdy wrócili z zakupów. Na szczęście żadne z nich nie chciało rozchodzić się nad tym tematem.

Melissa wymknęła się do ogrodu. Chciała sobie wszystko spokojnie przemyśleć. Usłyszała kroki zbliżające się w jej kierunku. Udała się.

- Melissa - powiedziała cicho Bob. Zerwała się na równe nogi.

- Słyszałam, że już wiecie?

- Mówisz o eksplozji? - upewniła się. - Bill Morris zadzwonił tu niedawno i powiedział o wszystkim.

- Okropno, prawda? A najgorsze, że mogła to być zaplanowana akcja. Nie szkoda mi tych terrorystów, ale ci niewinni marynarze...

Serce Melissy zabiło żywiej. Czy by Bob nie miał nic wspólnego z tym wybuchem? Wiódca jakaś to pilna i tajemnicza sprawa kazała mu tak nagle wyjechać?!

Bob wziął ją w ramiona. - Och, jak dobrze mieć ci tak blisko przy sobie. Tęsknię za tobą, wiesz, mała? Nie jesteś ciekawa, co robię przez ostatnie dni?

Melissa kiwnęła głową w milczeniu.

- Wiódca... - zaczął Bob - zostali my partnerami.

- Co to znaczy? - spytała Melissa zdziwiona.

- Cała ta sprawa z porwaniem Francine skłoniła mnie do pewnych gruntownych przemyśleń. Doszedłem do wniosku,

e pieni dze to nie wszystko. Mog wyrz dzi wiele z€ , gdy dostan si w niepowa€ne r ce. Dr a€m o ycie Francine na równi z LeCourami. A wiesz, dlaczego? Bo wyobra a€m sobie, e ciebie te mógłby spotka taki los! Nie wiem, co by si wtedy ze mn sta€...

- Czy to znaczy, e...

- Tak, to znaczy, e ci kocham, ale o tym b dzie mowa pó niej. Jeszcze nie sko czy€m tamtej kwestii. Moja zmieniona postawa wobec pieni dzy nie oznacza wcale, e rozdám ca€ swój majątek i wst pi do klasztoru. Ale zamierzam zrezygnowa z robienia wielkich interesów. Z€ y€m Kevinowi O'Sullivanowi wymówienie. Przedtem jednak wyci gn €m od niego akcje Shermana, które dostaniesz ode mnie w prezencie lubnym w przysz€m miesi cu. Mam nadziej , e dasz mi jak posadk w swoim wydawnictwie, ebym nie siedzia€bezczyinnie w domu. No, to wszystko, co ci mia€m do powiedzenia - Bob u miechn €si weso€ jak uczeniak.

Melissa natomiast przez d€ sz chwil nie mog€ z siebie wydoby g€su.

- Ale ja chyba ni ! - zawo€€ w ko cu.

- Nie, to wszystko dzieje si naprawd . Chcesz, to przynios ci gwiazdk z nieba?

- Nie, jestem ju bezgranicznie szcz liwa. Jake mia€ racj twierdz c, e zreorganizujesz moje ycie, je li ci tylko na to pozwol . A sk d wiesz, e za ciebie wyjd ?

Bob u miechn €si znowu, tym razem uwodzicielsko. - To Jake ci nie powiedzia€ Musz ci wobec tego pokaza , sk d wiem. - Przyci gn €Meliss do siebie i poca€wa€tak czule i nami tnie zarazem, e zakr ci€ jej si w g€wie.

adna gwiazdka z nieba nie mog€by go zast pi !

KONIEC